

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

LONDYN, 6 LUTEGO 1955 R.

Nr. 6 (398)

ROK IX.

MICHAŁ SAMBOR

JEDNA NAUKA

(Kartka z raptularza)

Istnieje tylko jedna prawdziwa nauka: o tym jak człowiek powinien postępować w życiu.

Lev Tołstoj

WSZYSTKO ZACHĘCA

Zycie chrześcijańskie. Życie miłością. Miłość chrześcijańska nie polega tylko na tym, by robić dobre uczynki, być miłym dla bliźnich, nie robić nikomu krzywdy, kochać i miłować Pana Boga, Pana Jezusa, Matkę Boską itd. To wszystko, oczywiście, jest niesłychanie ważne, ale to nie jest wszystko.

Życie miłością, to także znaczy: wszystko, co robimy, robić z miłością. Filantelista z miłością zbiera znaczki, bibliofil z miłością gromadzi książki... Chrześcijanin wszystko ma robić z miłością. „Kto prawdziwie miłuje Boga, dopatruje się Go we wszystkich rzeczach. Wszystko zdaje się go zachęcać do miłowania Stwórcy.” (Ludwik z Grenady).

W każdej rzeczy, z którą mamy do czynienia, jest jakieś dobro. Stale, przed każdą czynnością myśleć o nim, oszukiwać się go. Dobrze robi nicem, ten, który zaczyna pracę od wyszukiwania tego, co mu się w przeczytanej książce podobało i nad tym najpierw się zastanawia zadając sobie takie pytania jak: dlaczego mi się to podobało? co jest najlepsze w tej książce? gdzie czytałem coś podobnego do tego? Dobrze robi pasażer skracający sobie oczekiwanie na pociąg myśleniem o zaletach tego środka transportu; w Anglii np. nie braknie mu tematów: porządki w ogonkach do kas, miękkie siedzenia w trzeciej klasie, uprzejmi i dyskretni współpasażerowie itd. Albo — jedna z najczystszych prae inteligentnych: spotkania, telefony, listy. Jakie mnóstwo pozytywnych, dobrych, miłych myśli można sobie przy tym wzbudzić. Każdy człowiek, z którym mam rozmawiać czy do którego mam pisać, ma jakieś zalety, na pewno zrobił kiedyś coś dobrego, miłego, mądrego. Warto poświęcić temu bodaj kilka myśli. Nie żałować na to czasu. Może opóźni to trochę załatwienie sprawy, ale przyniesie ogromny zysk przez to, że sprawy załatwiane z miłością idą gładko i nie męczą.

Jeśli nawet przykre czy obojętne zajęcia można umilić dodatnimi myślami, doszukiwaniem się dobra, czyli: chwaleństwem, „chwaleństwem sobie”, to cóż dopiero zajęcia przyjemne. W autobusie do British Museum rozkoszować się myślą, że oto za godzinę będę mógł dostać prawie każdą książkę, jakiej tylko zapragnę!

Nie zabierać się do żadnej roboty, dopóki nie zacznie się jej lubić. Jednym ze sposobów, w jaki wzbudzić sobie przed pracą jak najwięcej o niej pytań, nie szukając zrazu odpowiedzi na nie; to wzbudzić ciekawość, apetyt na pracę. To samo stosować w myśleniu o otaczających nas ludziach. Co wiemy o kims, czego się możemy domyślać? Ile ma lat? zawód? klasa społeczna? typ psychofizyczny? przesłuchanie? upodobania? stan rodzinny? skąd pochodzi? itd. bez końca. Dalej: Przed każdym zajęciem zastanawiać się, jak je wykonać najlepiej i — dopiero wyobraźnia zdolna jest oddziaływać na wole! — wywołać w sobie żywy obraz takiego doskonałego zachowania się w pracy. Jakież ono pięknie! Byłoby... Może być... Będzie!

Bywają zajęcia tak nudne lub przykre, że długo by trzeba się silić, by zasmakować w nich przez myślenie nad nimi samymi, przez wyszukiwanie ich dobrych, miłych, ciekawych stron. Prościej jest obejść tę trudność, nie myśląc o samym zajęciu, lecz o czymś, co się z nim wiąże. W tak rozszerzonym kregu łatwiej jest znaleźć punkty dotknięcia. Mając do przeprowadzenia przykrą czy choćby tylko nieciekawą rozmowę myśleć nie o niej samej, ale albo o człowieku, z którym mam rozmawiać, albo o miejscu, w którym rozmowa będzie się toczyć; bodaj ono może być miłe, ciekawe...

Raz jeszcze: nie zaczynać żadnego zajęcia bez jednej bodaj miłej myśli. Szczęśliwi ci, co umieją ją łączyć z modlitwą, ci, dla których każde dobro jest darem Bożym, ci, którzy mają komu powiedzieć: „dziękuję!”.

Spotyka nas coś dobrego: na przykład dzięki jakiemuś albumowi odkrywamy nieznanego dotąd artystę. Warto przy tym pomyśleć o tym nieobliczalnym zbiegu okoliczności, tzw. przypadków, które nas, bez żadnej naszej zasługi zetknęły z tym dobrem. Iks pozyczył mi album, byłbym Iksa nigdy nie poznał, gdyby Ypsilon nie wyjechał i gdyby Zet nie szukał czwartego do bridge'a i nie wpadło mu do głowy

mi nie zaprosić, a wpadło mu do głowy, bo jego ciotka, która itd...

O BEZMYŚLNOSCI I SLEPOCI

Tych słów używa się często jako określeń. A przecież można je sine ira et studio zastosować do każdego. Każdy z nas jest najczęściej bezmyślny i ślepy, bo większość swych czynności dokonuje i większość codziennych doznań przyjmuje nie wpatrując się w nie i nie zastanawiając się nad nimi. „Zastanawiać się” wiąże się etymologicznie ze „stawiać”, zatrzymywać się. Pośpiech, nerwowe tempo dnia nie daje nam się zastanowić.

Idziemy ulicą do domu. Ileż na niej zagadnień! Historycznych: czas powstania budynków, lingwistycznych: teksty reklam i wywieszek, ekonomicznych: ceny, dobor towarów na wystawach, socjologicznych: czy i o ile krać w tym tego jegomościa świadczy o jego ambicji wyniesienia się nad swój krag społeczny?, estetycznych: dlaczego ta kobieta jest ładniejsza od tamtej? — Czy kiedyś o tym myśliły? Nienajmniej, bo „nie mamy czasu”.

Klamstwo! Na myśl nie trzeba dużo czasu! Za pół minuty można sobie zadać co najmniej pięć pytań. A co za różnica, czy przyjdzie do domu za pięć minut czy za pięć i pół? Trzeba z tym zerwać. O każdym doznaniu myśleć, zadać sobie o nim choćby jedno pytanie teoretyczne. Warto to robić choćby dlatego, że to przyjmienie, że rozwija umysł, daje materiał literacki (i nie tylko literacki), pomaga praktycznie, bo odpręża, odpręga nudę.

Ileż bogatszy wewnętrznie byłby człowiek, który by zechciał czas zużywać na niepotrzebne paplanie poświęć na niepraktyczne, bezinteresowne myślenie. Największy mruk co najmniej pół godziny dziennie traci na te słowa próżne, o których złowrogiej roli tak mocno mówi Ewangelia czy — jeśli ktoś woli nowszą literaturę — Aldous Huxley w swej „Perennial Philosophy”, w rozdziale pt. „Silence”.

Największą przyjemnością zamilowanego i wytrawnego szachisty jest długie, dogłębne zastanawianie się nad poszczególnymi pozycjami. Każda praca przypomina partię szachów: składa się z „pozycji”, a w każdej z nich tkwi pewna ilość wariantów, możliwych posunięć. Ich rozważanie jest przyjemnością szachisty, rozkosz czerpie on z błysków natężenia pozwalających mu odkryć ruch najlepszy w danej pozycji.

To szachowe podejście możliwe jest w każdej pracy, umysłowej i fizycznej: Uczynimy się. Wybrać, wziąć na warsztat ustep ze studiowanego dzieła (pozycja), rozważać go na wszystkie strony (warianty), dojść do pełnego, najlepszego zrozumienia (najlepszy ruch). — Pakujemy walizkę. Warianty możliwego ułożenia w niej potrzebnych przedmiotów. Chwila zastanowienia uczyni tu pracę nad wyraz zajmującą i pozwoli wykonać ją lepiej. Tylko na pozór taka praca jest zbyt wolna. Skupienie uwagi na jednej „pozycji” odpiera cię, bo potem będziemy — szybkiej przechodzić od pozycji do pozycji, tak jak w szachach półgodzinne zastanawianie się nad jednym posunięciem pozwala potem na błyskawiczne wykonanie dalszych.

Oczywiście, przyjemność szachów polega też na tym, że nie odnosimy się do nich ze śmiertelną powagą, są bądź co bądź zabawą, w którą nie musimy się bawić. Wyrobić sobie podobny (nie „taki sam”) stosunek do wszystkiego, bo czyż wszystko nie jest igraszką „wobec wieczności”?

Nie dość jest patrzeć na świat, trzeba go oglądać i weni się wpatrywać. Oglądanie, to pierwszy etap: wybranie przedmiotu, rozłożenie go na części, badanie ich związków. Drugi etap: wpatrywanie się w części. Trzeci — nowe widzenie świata?

Quod Agis, Agas

„Nikt nie może dwóm panom służyć” znaczy też między innymi: „Nie rób nigdy dwu rzeczy naraz”. Robiąc jedną rzecz myśleć o drugiej, to postępowanie tak szalone, że gdyby nie było powszechne, nazywalibyśmy je objawem pomieszanja zmysłów. Unie-możliwia nam to porządne zrobienie tego, co robimy, a nic a nic nie pomaga w wykonaniu tego, ku czemu wybieramy niespokojną myślą. Nie tylko

nie pomaga. Przeszkadza. Bo odbiera świeżość podejścia, która nam będzie potrzebna, gdy przyjdzie czas, by zabrać się do drugiej rzeczy.

Dzielić sobie każdą pracę na malutkie etapy i załatwiać je jeden po drugim. Łatwiej to powiedzieć, trudniej wprowadzić w życie. Choć wtedy, gdy się do tego zmusimy i wytrzymamy w tym nastroju choćby przez godzinę, czujemy potężny przypływ smaku życia, żeby nie powiedzieć — łaski.

A to przecież takie proste: odpycha nas od każdego zajęcia nasza chora wyobraźnia chcąca gwałtem ogarnąć całość, wybiegająca ku końcowi. Całość jest nie do ogarnięcia, ogromna i pogmatwana, koniec czy wynik niepewny. Ale, na miły Bóg, ta straszliwa całość składa się z prościutkich elementów, łatwych i pewnych. Boski dar koncentracji, to nic innego jak umiejętność pokratkowania sobie zadania na małe lenkie etapy.

Odnosi się to nie tylko do pracy, ale w ogóle do wszelkich czynności. Wszystko można robić szybko, ale bez nerwowego pośpiechu, jeśli będzie się robić tylko jeden etap za jednym razem, to znaczy — tylko o tym jednym będzie się myśleć mówiąc sobie pół serio: „drugiego etapu wcale robić nie będę”. Bo gdy przyjdzie na niego kolej, nie będzie on już... drugim! W pośpiechu męczy nas nie szybkość, ale wybieganie myślą ku temu, co dalej, co potem.

Ta zasada ma też ogromne znaczenie przy aktach odwagi, silnej woli. Proszę pod tym kątem przestudiować piękny opis wysadzenia mostu w „For Whom The Bell Tolls” Hemingwaya. To samo w mniejszej skali: nalógowa palacz postanawia a nie palić cały dzień — ileż wymaga to siły woli! Nie palić

przez kwadrans, to bagatela. A przecież dzień, bez osmiu godzin snu, to tylko 64 kwadransy.

„Nie pracować nigdy „na czas”: „od tej do tej godziny będę robił to i to”, lecz „na zadanie”: „zrobię to to, bez względu na to, ile mi to czasu zabierze”. Wyznaczyć sobie małe zadania, nie odcinki czasu.

Przed pracą oczyścić swe biurko, warsztat, umysł i serce — skrupulatnie, pedantycznie, nie zostawiając dostojnie niczego, co się nie wiąże z jednym, najbliższym zadaniem. Nie żałujmy na to czasu. Musimy i tak zrobić jaki taki porządek na biurku. Zmieniając „jaki taki” na „pedantyczny” dodajemy sobie zdumiewająco mało roboty. To niestety prawda nawet nie minut, ale sekund.

Gdy nas jakaś nagła sprawa oderwie od obranego zajęcia, nie przejmujemy się nią, ale i nie spychamy jej. Przyjmujemy ją spokojnie, załatwiamy zaraz, jeśli to nieodzowne, w każdym razie robimy sobie skrupulatną o niej notatkę i schowamy ją starannie. To uspokaja, usuwa z podświadomości gnębniąca myśl. I naprawdę nie zajmujemy wiele czasu.

Nie żałujmy też czasu na planowanie. Skrupulatnie i spokojnie. Planować i załatwiać swoje sprawy trzeba tak spokojnie... jakby to były sprawy cudze, jakby ktoś się z nimi do nas zwrócił z prośbą o radę. Planować zarówno dłuższe okresy: rok, miesiąc, tydzień, jak i dzień, jak i poszczególną zlozoną robotę. Wypisać sobie w noteci etapy, duży mały etapów.

Zrobivszy plan, natychmiast o nim „zapomnij”, zepchnij go w podświadomość i zaczynaj pracować wyznaczając sobie tylko pierwsze zadanie: masz

przeczytać jedną stronę, napisać jedno zdanie, wykonać parę ruchów łopaty itp. Nawet samo planowanie tak można rozkładać mówiąc sobie: „Mam tylko spisać sobie sprawy do załatwienia, tylko zrobić ich wykaz, nic więcej”. A potem: „Mam tylko wybrać najważniejsze, tylko je wybrać, reszta mnie nie nie obchodzi”...

Pożyteczne mogą być sposobyki zewnętrzne, niemal czysto fizyczne, pomagające wejść w ten spokojny rytm i w nim się utrzymać: zaczynać wszystko niesłychanie powoli. Ruszać tak, jak rusza pociąg. Gdy coś wytrąci nas z rytmu, zachwiać tempo, zmniejszać etapy, zachowywać się jak aktorzy zwolnionego filmu. Przy zaczynaniu — konieczna chwila bezruchu, której użyć na kontemplację zadania i odziaływanie na etapy, kratki, kwadrantki. Nim przejdziemy do jednej rzeczy do drugiej, rzućmy okiem na to, co pozostawiamy za sobą. Zrobmy jeszcze parę pożegnalnych ruchów, miejmy jeszcze parę myśli — już niekoniecznych, już, zdawałoby się, zbędnych, bezinteresownych. Przypomnijmy sobie rzemieślnika-artystę starej daty. Jak on wykańcza swe dzieło, które niecierpliw klient uważa za już gotowe. Jak je glądzi czule, tu jeszcze coś niewiadomo poprawi, tam wygładzi...

TRZY SMOKI

Na tej drodze, którą dotąd przedstawialiśmy jako gładką, bezpieczną i miłą, czują ją, jak wszędzie, stada smoków. Pomowmy bodaj o kilku ich gatunkach.

Pierwszy zwał się kiedyś Acedia, dziś nosi różne miana: smutku, przygnębienia, depresji, zmartwienia... Oto dwa spośród wielu decyzyjników na ten jad smoczy:

1. Nie martwić się, ale myśleć o zmartwieniach. Gdy jesteśmy przygnębieni czy bodaj niezadowoleni, robimy sobie wtem pierwszy spis tego, co nas martwi. Potem wybierzmy, które zmartwienie jest największe i myślimy tylko o nim zadając sobie pytanie: Na czym polega? Co jest jego przyczyną? Jak ją usunąć? Ile w tym mojej winy, ile losu? Jakie miałem podobne kłopoty? Jak się rozwiązały czy rozwiąły? Jak sobie inni z tym dają radę? Czego dowodzi to zmartwienie? W czym jest charakterystyczne? Czy i co jest w nim zabawnego, gdy spojrzeć na nie z boku? Itd., itd. Im więcej pytań, tym lepiej.

2. W chwilach ogólnej depresji wywołanej nawałem zle idących spraw, zwykłe chcemy za wszelką cenę uporządkować te sprawy, wyszukać i usunąć błędy, ułożyć plan działania. Słusznie, ale od tego nie wolno zaczynać. Trzeba najpierw uporządkować siebie samego, a nie w podnieceniu szukać wyjścia. Uporządkować nie przez myślenie, bo nie da się opanować od razu strachów, niewczesnych załóg, pośpiesznych zasadniczych postanowień. A więc jak? Dla wierzących: modlitwa ustna, nie myślna, lektura pobożna... Dla niewierzących: jakiekolwiek inne zajęcia, nie trudne, ale wymagające całej uwagi.

Dwa dalsze smoki siedzą też w nas samych i ryczą. Jeden tak: „Musisz spełnić swój obowiązek, dokonaj ważnych, wielkich rzeczy!”, drugi zaś tak: „Musisz za to mieć uznanie, a przynajmniej nie zasłużyć na pogardę!”

Odrzuć te bzdury, nie tylko teoretycznie, nie tylko wyrzec się tych pragnień (i dalej postępować tak jakby się ich nie odrzuściło), ale powiedzcie sobie prosto z mostu:

Jest rzeczą wykluczoną zrobić (i to dobrze czy świetnie) wszystko, co muszę zrobić. Zwykły tydzień normalnie ambitnego człowieka wygląda tak: 150 spraw do załatwienia, każda wymagająca przeciętnie dwu godzin pracy, a więcej niż stu tygodniowo nikt nie wytrzyma. Jest więc pewne i nieuniknione, że nie spełnię całego swego obowiązku, nie wykonam tyle, ile bym chciał, być może zaniedbam fatalnie sporo spraw.

Z tego wynika, że na pewno zasługuję na pogardę, delikatnie mówiąc: na krytykę, niezadowolone, drwinki, obojętność. Bez tego się nie obejdzę i dobrze, że się nie obejdzę, bo inaczej bym gotów uwierzyć, że nie jestem prochem.

Ważniejszą rzeczą jest żyć dobrze niż „czegoś w życiu dokonać”.

Nawet ważniejsze jest żyć przyjemnie niż osiągnąć wielkie rzeczy.

Bo żyje się przyjemnie radując się tym, co się robi. Radować się można tylko wtedy, gdy się robotę smakuje, robi ją powoli, bez troski i strachu o wynik. W tym rozumieniu „dobrze” równa się „przyjemnie”. Gdyż tzw. przyjemności lenistwa, pychy, nieczyściwości nie są — jak wiadomo — przy-

jemnościami, bo polegają na podążaniu rodzą strach przed utratą.

A teraz paradoks tego... chrześcijańskiego sybarytizmu: Dążąc do życia dobrego i przyjemnego zdobywasz jedyną możliwość dokonania, jeśli Bóg zechce, czegoś wielkiego. Nie wiele wielkiego, nie bez upadków i małości, ale zawsze czegoś. Na przykład: „musisz” w jakimś terminie zrobić cztery prace i chcesz zrobić je znakomicie — spieszysz się, denerwujesz i w najlepszym razie robisz cztery przeciętne. Robiąc powolutku jedną, trzech pozostałych nie zrobisz wcale i będziesz miał z tego powodu przykrości, ale za to ta jedna może ci się udać wspaniale. Tak jest i lepiej, i przyjemniej, bo jedna dobra praca warta jest czterdziestu miernych, a radość z prawdziwego osiągnięcia równoważą przykrości.

Główną przyczyną niewydajności jest rozproszenie energii. Trzeba się skupiać na jednym, nie tylko w wymiarze chwili, ale i lat, i nieraz życia. A to jest osiągalne tylko przez eliminację

Gdy w czasie kryzysu czy przelomu w życiu spojrzysz wstecz na dotychczasowe sprawy, nagle nieaktualne, co lepiej: czy widzieć za sobą szanowanie się, sporo średnich osiągnięć i mnóstwo pomyłek, czy też garstkę prawdziwych dokonanych i nieprzerwanym niemal pasmo spokoju i głębokiej radości? Tak, radości, mimo przykrości ze strony niezadowolonych ludzi. I tak nigdy wszystkich nie zadowolisz, bo każdego z nas zżera ambicja nie do nasycenia.

W stosunku do swojej i cudzej ambicji trzeba tak żyć jakby człowiek był sam jeden na świecie. Bóg nie każe nam zaspokajać ambicji bliźniego. Każde czynić mu dobrze. Gdy przegladniemy swoje oowadziaki, okazuje się, że te, w których chodzi o robienie dobrego, zawsze zdążymy spełnić, nie damy tylko rady tym, gdzie chodzi o pozorne dobro, o ambicję.

Przykrości spowodowane niezrobieniem czegoś w ogóle są krótkotrwałe. Czuj się wyrzut, drwina, to zwykłe parę sekund, przedłuża przykrość tylko nasze głupie martwienie się krytyką. Natomiast przyjemność z robienia czegoś spokojnie, dobrze, z miłością, jest długotrwała, trwa tak długo jak dana robota, więc godziny, dni, nieraz lata całe.

Przy tym wszystkim bez cierpienia nie obejdziesz i nie obejdziesz się bez upadków. Nieszczęście w tym, że na pierwsze godziny się jeszcze od biedy, ale na drugie za nic. Gotowi jesteśmy cierpieć dlatego, że inni są źli, głupi, niedołężni, ale nie dlatego, żeśmy sami tacy.

Bez upadków nie ma chrześcijańskiej drogi. Są chwile kiedy trzeba na życie patrzeć już nie jako na trudny marsz pod górę, z podniesioną głową, ale jako na wleczenie się „dochodzągi”, jak się w łagrze nazywa człowieka u kresu sił.

A Święci twierdzą, że tam dopiero, u kresu ludzkich sił zaczyna się prawdziwa moc. Moc i chwala.

Są jednak nie tylko cierpienia, które nas podnoszą. Są takie — podobnie jak i „przyjemności” — które ponizają. Trzeba się uzyć jak ich unikają.

Michał Sambor

ZGON PRZYJAGIELA POLSKI

Po ciężkiej chorobie zmarł niedawno w szpitalu angikański dziekan Chichesteru Arthur Stuart Duncan-Jones, jeden z najbardziej oddanych przyjaźni Polki w Wielkiej Brytanii.

Urodził się w roku 1879, liczył więc w chwili śmierci 76 lat. Był w ciągu swego życia rektorem szeregu szkół, poświęcał się także dziennikarstwu i publicystyce, głównie politycznej.

Przez szereg lat pełnił obowiązki przewodniczącego Rady Centralnej Towarzystw Anglo-Polskich, mającej siedzibę w Londynie. Był także wiceprezesa Brytyjskiej Ligi Wolności Europy (British League for European Freedom), organizacji, na której czele stoi dzielna księżna Atholl. W najgorszym okresie „appeasementu” przy końcu wojny i później, Liga Wolności Europy skutecznie przełamwała przez organizowanie wielkich zebrań publicznych i przez swe wydawnictwa „konspirację milczenia”, jaką próbowało otoczyć sprawę Polski i w ogóle krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Nie miało to może politycznego znaczenia, ale odegrało dużą rolę pod względem moralnym, podobnie jak stanowisko owych 27 posłów Izby Gmin, którzy głosowali przeciw zatwierdzeniu układu jaltan-skiego.

Zmarły dziekan Chichestera szczególnie wiele zdziałał w tym zakresie. Na łamach prasy często zabierał głos w obronie praw Polski do niepodległego bytu.

Bronisław Przyłuski

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

KONCERT

„TRISTAN I IZOLDA” WAGNERA

Tyle się namartwisz, natroskasz
tym jedynym nieprzespanym snem.
Płyną dnie strumieniem za wąskim.
Noc się rozlega dnem.

Spiewają kapele skrzypiec.
Dzwoni weselny wóz.
Włosy omdlewającym nawykiem
podobniejsze do brzoź.

W uszy jak w muszle morskie
dreszcz nacieka ze szpar.
Metaliczny, muzyczny pośpiech —
świergot cierpiących ziarn.

Dłonie jak papierowe dwa listki
położone na płask
opływa zapoźniony ton niski
w strumieniu wysokich łask.

Wieżą nawy pobożnych katedr.
Spiewa najczystsze z wnętrza,
podniesione mistycznym wiatrem
serce się kraje z tęczę.

I wyrasta ponad rym, ponad troskę
i zakwita od nut.
Wszystko, co w człowieku bywa boskie,
spada w serdeczny nurt.

I słabości i rytm naglący
i pot skroplony na brwiach.
Archaniołem, łabędziem gorejącym
we wstępujących mgłach.

Nawet ciało, jeżeli się jeszcze liczy,
spada w krzepnący dźwięk,
oddechami tylko — resztką goryczy
zaczepione o brzoź.

A na brzegu budy jarmarczne
i zaciekły schrypięty targ.
Czy muzyki skrzypcom wystarczy,
i nam czy wystarczy warg.

Żeby rozgnieść świecącego pająka,
w najprzeźroczystszą nic
i z tej nici w utkanych koronkach,
strojnie, spokojnie śnić.

Żeby dojrzeć jak grona w ościsłu
do winobrania, do żniw
aż po czystość, aż po czystość wieczystą
po Nieskończoność bez cyfr.

WIESŁAW RĘCZLERSKI

BOG JEST WIELBIONY W NARZECZU M'BUNDU

Przejazd załadowaną kamionetą przez drogi przecinające płaskowyż Angoli nie jest łatwy i prosty. W dolinach przepływają źródła i rzeki, a u podnóża gor drogi łączą drewniane, prymitywne składowe mosty, zazwyczaj składające się z desek przerzuconych w linii pionowej o rozmiarach nie wiele szerszych od objętości opon. Wyzierająca pustka, spoza której ukazuje się woda, posrodku wypełniają liczne wiazany kładek w kierunku poziomym. Często zdarza się, że drzewo nie wytrzyma ciężaru kamionety o kilkutonowym ładunku. Złazka w porze mokrej, gdy woda spływająca z gór podmyła lub znieśli mosty, podroz pociągona jest ze stałym badaniem stanu przeprawy.

Wysoki, dorodny mulat, prowadzący kamionetę, co pewien czas wysiada, aby z bliska ocenić przerzucone nad powierzchnią wody przesła. Kamioneta przesuwająca się szczęśliwie po deskach, aby za chwilę na ostatnim biegu, przy warkocie potężnego silnika wspiąć się ponownie na szczyt wznieślenia. Na płaskowyżu nawet niewielkie różnice poziomów w terenie wywołują raptowną zmianę temperatury. Gdy na wierzchołkach gór lub zboczach odczuwa się silnie skwar pociągającego słońca, wywołujący chęć pobicia się nawet koszulki, nieco później jaru zasłoniętego wysoką trawą, wspinająca się ponad wzrost człowieka, uderza nagle powiew zimnego, wilgotnego powietrza.

Poprzez nagły step w oddali prowadzi boczna droga na stok wysokiej góry. Swoją zielenią na tle czarowanego-szarego plany wybijają się maly lasek. Hamulec zatrzymuje kamionetę przy rozwidleniu dróg. „Oto seminarium” — odzywa się mulat, wskazując ręką oddaloną zielen.

Wędrowanie pieszo po odkrytej drodze nie jest tak przyjemne jak po alei eukaliptusowej. Idąc pod górę w rozpalonym przez słońce stepie co chwila trzeba omijać fale bisonów, ale nawet udany przeskok nie chroni przed przeniknięciem niektórych owadów do wnętrza odzieży. Kilkakrotnie większe od mrówek, są one plagą Angoli. Podobnie jak termity posuwają się falami, które gęsto pokrywają ścieżki i drogi. Bisony gryzą tak silnie, że chwilami wydaje się, jakby zapuszczano w ciało żądła lub szpilki. Gdy niekiedy fale dokuczliwych owadów wytkną swoją drogę wprost na dom mieszkalny, tylko naprędce wykopane rowy, napełnione wodą, mogą odwrócić w innym kierunku maszerujące masy i uchronić mieszkanca przed prawdziwą zmorem.

Człowiek wędrujący na własnych nogach przez brzość narazony jest jeszcze na inne niebezpieczeństwo. Wylegające się na słońcu, po drogach lub kamienicach przydrożnych, lub zaszyte głęboko w trawie węże zmuszają do czujnej uwagi. Większość gadów w tym kraju jest jadowita, lecz stopień niebezpieczeństwa zależy od ich gatunku.

powłoka pokrywająca ich korpus mieni się i przecodzi w coraz to inne odcienie kolorów, raz szafirowy lub błękitny, to znów szmaragdowy. Głównie, o pomarańczowym zabarwieniu, wyszczą jak ogniste, ruchome kulki, ukazujące się w coraz to innym miejscu. Wielkie puszczki, zwłaszcza na południu, w niezaludnionych prowincjach Mexico i Cubango, zapełniają masy węzów duszycieli. Karczowanie tych lasów napotyka na olbrzymie trudności, połączone nie tylko z groźnym klimatem i chorobami tropikalnymi. Nawet czarnego tubylca trudno jest skłonić do pracy w takich warunkach, gdzie niemal spoza każdego drzewa czai się śmiertelne niebezpieczeństwo.

Obok kamieni w pobliżu drogi spłoszony widokiem człowieka posuwa się szybko waz. Skóra pokrywająca półtora-metrowy kadłub należy do rzadziej spotykanych: jest koloru ciemno-zielonego, poprzecinana pięknymi, srebrnymi pasami. Jeszcze kilka gwałtownych odruchów i piaz zapada się z szesletem w przydrożnych, gestych zarostach.

Poprzez pnącą się do góry drogę dochodzimy do lasu cedrowego. Tutaj rozpoczyna się już teren, gdzie praca ludzka przekształca dziki step w rezerwat ziemi afrykańskiej, na którym porastają drzewa i rośliny według nakreślonego planu, powstałego w mózgu człowieka. Kierowana świadomie celem ręka ludzka pieczołowicie je kulturuje i dopomaga naturze w ich rozwoju.

W obszernej ogrodzie rosną niemal wszystkie warzywa znane na naszym kontynencie, klimat półtropikalny sprzyja wegetacji roślin różnego rodzaju, wsiadłych Afryce i Europie. Obok wielkich liści kapusty wspinają się zwoje groszku, a nieco dalej swoją ciemną czerwienią wybijają się buraki; w ich sąsiedztwie wyrasta sałata o białej zielonych liściach, a opodal rozciąga się pole ananasów, rozsadzonych w szeroko odstępach z polyskującą złotawą barwą dojrziałych owoców, posród okalających długich, ostro zakończonych, szpiczastych liści. Wzdłuż bocznej drogi, z obu stron przyciągają oko wysokie, strzeliste lodgi kaktusów; maszyne i imponujące swoją wielkością liście robią wrażenie, jakby z dumą i pobłażaniem spoglądały na otaczający świat roślin. Poza nimi wznoszą się bambusy o gestym, nieprzepuszczającym światła rozgąszeniu.

Za ogrodem, który odgradzają z obu stron eukaliptusy i cedry, rozciąga się kompleks murowanych budynków, tynkowanych w kolorze białym i krytych czerwona dachówką. Napotkany czarny chłopiec prowadzi nas do mieszkania superiora.

Spoza biurka podnosi się szpakowaty mężczyzna, z długą, okazałą brodą, przyprószonej siwizną, ubrany w jasnego koloru sutannę. Z bladej, bezkrywej twarzy o regularnych, pociągłych

jakie stawiamy sobie za cel i do których usilnie dążymy. A dziś są one aktualne i palące więcej aniżeli kiedykolwiek w przeszłości. Ponure siły ateizmu z ich doktryną nienawiści zalały już niemal całą Europę i wyruszyły na podobój Afryki. Wszędzie sięja rozkład moralny, rzucając wyzwanie naszej wierze i Kościołowi. Stoczyły już wielkie masy ludzkiej rasy do form życia — pierwotnych, barbarzyńskich. Skarb naszej wiary i ideę przekazaną nam przez Pana naszego Chrystusa, miłości bliźniego, pragną zastąpić walką klasową i okrucieństwem i pograżać cały świat w nieprzeniknionej ciemności. O niebezpieczeństwie tych niszczycielskich

sił nie ode mówił panu, który wraz z całym swoim narodem i krajem jest widomą i bezpośrednią ofiarą ich przemocy i złowieszczonego rozwoju. Bogu dzięki, przenikanie tych rozkładów prądów poważnie nie dotarło do tego kraju, ale w niektórych miejscowościach były czynione próby zakłócenia spokoju i zamacenia umysłów ludności. Nie możemy zapominać o tym, że działalność agitatorów komunistycznych mogłaby tutaj być niebezpieczna. W propagowaniu hasel przeznaczonej dla ludzi o umysłowości i psychice zupełnie prymitywnej, wyrywają oni najniższe instynkty i pobudki ludzkie; zazwyczaj operują sloganami, które biegną po linii popędów, a wobec braku poważniejszych kryteriów i hamulców, mogą być łatwo podchwytane i przyswajane przez natury więcej podbudowane. Złazka fetyzysci, pozbawieni przesłanki natury moralnej, wypływających z etyki chrześcijańskiej, nie mają sprawdzianu i kontroli swoich czynów w tym sensie, w jakim posiada je każdy chrześcijanin. I dlatego musimy jak najprędzej zdołać ich dla naszej wiary i Kościoła, wprowadzić do wielkiej rodziny chrześcijańskiej i podnieść ich życie duchowe. Musimy jak najprędzej przekazać im wielką spuściznę, którą sami odziedziczyliśmy. Czasu wiele nie mamy i jeśli tego nie dokonamy w najbliższych latach, ludność ta może być stracona dla naszej cywilizacji. Muszę panu zaprezentować moich wychowanków — dodaje o superior po chwili z uśmiechem — w niedalekiej bowiem przyszłości oni będą obronili tym doniosłym zadaniem i w nich musimy pokładać nadzieję, że spełnią dobrze swój obowiązek. Obecnie nauka odbywa się w klasach, oboczą ich pan wiecej przy pracy.

Poprzez wielki dziedziniec udajemy się do zabudowań, w których odbywają się zajęcia. Teren seminaryjny jest olbrzymi, obejmuje dwa tysiące hektarów, a posrodku w nierównej odległości, porożucane, wznoszą się liczne zabudowania mieszkalne, szkolne i gospodarcze. Wszystkie domy tynkowane są na biało. W odbiciu promieni i blaskach słońca wywierają szczególnie jasne wrażenie, jakby niezamącony nastroj spokoju i pogody przebiegał i rozpyliwa się wokół.

— Oto miejsce przeznaczone dla gier sportowych i zabaw w czasie przerw w nauce — mówi pader José, wskazując wielki plac — a drugi jeszcze większy, położony z przeciwnej strony zabudowań, służy do ćwiczeń gimnastycznych i spacerów. Przywiązujemy dużą wagę do wychowania i rozwoju fizycznego. W seminarium przebywa młodzież w wieku od 12 lat a więc w okresie formowania, który ma tak doniosłe znaczenie na stan zdrowotny w przyszłości. Codziennie dwie godziny poświęcone są zajęciom fizycznym i dzięki temu posiadamy rozległy i starannie utrzymany ogród owocowy i warzywny. Chłopcy bardzo lubią pracę na roli, gdyż odrywa ich ona od stałych zajęć umysłowych i wprowadza odprężenie. Trzeba mieć na uwadze, że wszyscy seminarzyści dzieciństwo swoje spędzili w kimbach i są przyzwyczajeni do prac fizycznych. Językiem wykładowym jest portugalski, ale duży nacisk kładziemy na poprawną znajomość czystego języka M'Bundu, z którym jako piśmiennym większość seminarzystów zapoznaje się dopiero w czasie studiów w naszym zakładzie.

Wchodzimy do jednej z klas, gdzie nauczyciel tubylec prowadzi wykład z historii. Z ławek powstają kilkunastoletni chłopcy i na pytania zadawane przez o superiora odpowiadają ze swobodą a niekiedy i z uśmiechem na ustach. Z ich zachowania przebiega zaufanie i przyjazny stosunek do zwierzchnika. Oni sami są przekonani, że nie lekają się tego człowieka w białej sutannie, który jest ich przełożonym, lecz otaczają go prawdziwą sympatią i szacunkiem. Widać, że dominują w tym

zakładzie nie surowe rygory, groźby i kary, lecz wyrozumiałość, dobroć i perswazja. Niektórzy uczą się francuskiego — odzywa się superior i nieco rozumieją, o czym rozmawiamy. Jeden z naszych ojców tubylców, człowiek niezmiernie muzykalny, zorganizował chór, który nie tylko śpiewa w kaplicy podczas nabożeństw, lecz postawił sobie szersze zadanie. Przy pomocy chóru pragniemu umuzykalnić ogół naszych wychowanków i wzbudzić zainteresowanie królową sztuki, która jest tak doniosłym współczynikiem kultury. Wszak odgrywa wielką rolę wychowawczą dopomagając religii w podniesieniu duchowym człowieka. Zupelnie

Jeśli chodzi o naukę, to w pierwszym roku pobytu mego w tym kraju, gdy pracowałem w brussie, nie wiedziałam nawet jak mydło wygląda.

— Musimy wracać — dodaje po chwili — gdyż gong oznajmia przerwę na almoço.*)

Nagle panującą dokola ciszę przerywa gwar rozlegający się ze wszystkich stron. Z budynków wybiegają czarni seminarzyści i gęstokulując, nawolując się wzajemnie lub głośno romawiając w czystym języku, wszyscy biegną w stronę jadalni. W wielkiej sali na długich, ustawionych rzędami stołach unosi się para z wielkich waz z fuba. Krótka modlitwa odprawiona przez ojca tuziemca poprzedza posiłek.

Udajemy się do sąsiedniego pokoju, gdzie na superiora oczekuje pader Angelico i administrator. Usługujący Murzyn wnosi półmisek z najpopularniejszą potrawą portugalską w Angoli. Bacalhau powtarza się często w jadłospisie portugalskim, tylko w coraz to innych odmianach. Portugalczycy znają niezliczoną ilość sposobów przyrządzania tej ryby, którą niekiedy po kilka razy w tygodniu spożywają.

— Pader Angelico — odzywa się superior spoglądając na siedzącego obok misjonarza tuzemca — po przybyciu z Rzymu uporządkował nam bibliotekę, którą przekształciliśmy w rodzaj czytelnicy, służącej naszym wychowankom do pogłębiania i uzupełniania wiedzy. Podręczniki do nauki w zakresie szkolnym, zwłaszcza w narzeczcu M'Bundu, wybijamy sami w naszej drukarni, która ostatnio została zaopatrzona w nowoczesne maszyny drukarskie, sprostowane ze Szwajcarii. Pragnę pokazać panu jeszcze ogród, ale odożmy to na później, gdy słońce nie będzie nam dokucać. Godziny popołudniowe w Afryce nie nadają się do spacerów i wiedzienia. Najlepiej będzie, gdy obecnie ojciec Angelico pokaże panu bibliotekę. W towarzystwie młodego misjonarza tuziemca wchodzimy do obszernej waz. Środek wypełniają stoliki z krzesłami, a na półkach umieszczonych pod sianami, poustawiane są tysiące tomów. Oko obserwatora w pierwszym rzędzie przyciąga dział książek łacińskich o treści religijnej, lecz bogato są również zapełnione półki z książkami z dziedziny filozofii, ekonomii, historii i socjologii w różnych językach.

— Staralem się skatalogować książki — odzywa się łamaną francuzką pader Angelico — według języków, w których są drukowane a następnie uporządkować według treści. W czasie mego pobytu w Rzymie miałem okazję uzupełnić moją skromną wiedzę. Po raz pierwszy zetknąłem się tam z Europą i Wiecznym Miastem. To jedyny na ziemi wiecznotrwały miasto, w którym spotkały się ze sobą nie tylko rasy i wieki, lecz całe epeki. Wspaniałe dziedzictwo kultury łacińskiej wywarło na mnie silne wrażenie. Muszę nadmienić, że pochodzę z Bengueli i jestem synem zwykłego robotnika portowego. Gdy byłem małym chłopcem, zaopiekował się mną pewien misjonarz z Bengueli i pomógł mi do ukończenia seminarium i uzyskania święceń kapłanskich. Obecnie najgorętszym moim pragnieniem jest poświęcenie się dla dobra moich braci, aby zbliżyć ich do wiary Chrystusowej i Kościoła Rzymskiego. Podniesienie bowiem cywilizacyjne i ekonomiczne ludzkiej rasy widzę jedynie na drodze wiary i usilnej pracy.

W tej chwili nasuwa się pytanie, dlaczego tak łatwo można znaleźć wspólny język z tym człowiekiem? To wpyły świata, czerpiącego swoje natchnienie z cywilizacji chrześcijańskiej. Jakże wielka, wszechstronnie promieniująca jest jej siła i moc oddziaływania!

Do biblioteki wchodzi superior.

— Gospodarstwo — odzywa się pader José prowadząc nas w kierunku rozległego pola, na którym rosną małe drzewka — nie będzie pana interesować. Prowadzimy je tylko dla zaspokojenia własnych, niezbędnych potrzeb. Przywiązujemy natomiast dużą wagę do zapewnienia sobie na przyszłość drzewa budowlanego, albowiem płaskowięz dotkliwie odczuwa jego brak, seminarium rozbudowa się i niemal co roku musimy stawiać nowy budynek. Posadziliśmy cedry, lecz drzewa te rosną powoli, nie tak jak eukaliptusy. Oto pięcioletni zagajnik — dodaje po chwili wskazując ręką pobliski las — a wysokość niektórych drzewek sięga już ponad cztery metry. Ale największy wysiłek został włożony przez moich chłopców dwa lata temu, gdy zasadzili tysiąc drzewek pomarańczowych. Niestety, nie rosną one tak szybko i nie przedkobyśmy mogli korzystać z owoców. Oby tylko w międzyczasie nie nawiedziła nas szarańcza. Tej klęski stałe się obawiam. Wprawdzie panuje powszechnie przekonanie, że Angole szarańcza nawiedza raz na dwadzieścia lat, lecz są to tylko przypuszczenia, nie oparte na poważniejszych przesłankach. W czasie swego pobytu byłem świadkiem i spotkałem się trzykrotnie z tym niszczącym żywiołem. Kto go nie widział i z nim się nie zetknął, nie może sobie wyobrazić spustoszenia, jakie powoduje. Owady nadciągają do Angoli lawiną z pustyni Kalahari, położonej w południowo-zachodniej Afryce. Nadlatują falami, a milionowe ich ilości tworzą tak gęstą chmurę, że zakrywa ona słońce, powodując ciemność na całej przestrzeni. Człowiek jest bez-

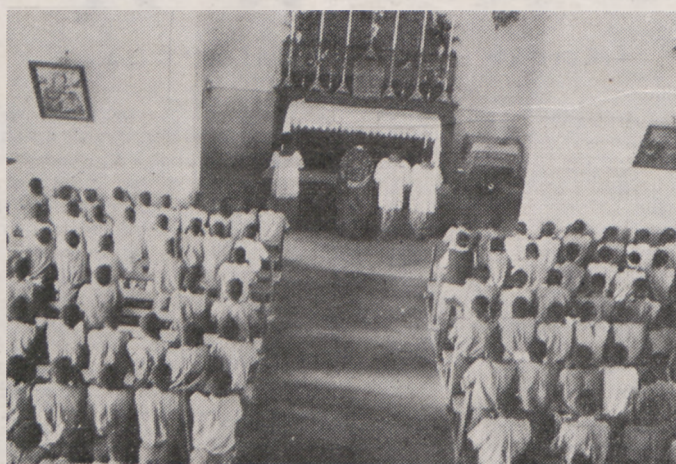
silny w waice z tym potężnym żywiołem, gdyż przytłacza go on swoim bezmiarem. Jedynym dotychczas praktykowanym sposobem przeciwdziałania był dym z rozpalonych ogn, nieskiedy uauowało się przy pomocy wyszkolonych uczniów i służby zmienić kierunek lotu groźnych szkooników, ale było to skuteczne tylko wobec mniejszych, pojedynczych zespołów o niezbyt wielkim zagęszczeniu. Wobec wielkich chmur naciągających szeroką lawiną wszystkie wysiłki ludzkie stawały się daremne. Po przejściu takiej lawiny spustoszenie jest zupełne. To, co było zielone, przestaje egzystować. Wszystkie drzewa zostają pozbawione liści, nawet oleandry, których liście zawierają substancje trujące. Pod ciężarem lawiny uginają się i obrywają duże gałęzie eukaliptusów. Nienasycone owady, których organizm natychmiast trawi pokarm w locie, w powietrzu stale wydzielają ekskrementy, które opadając na dół powodują uieny deszcz. W takich chwilach pola uprawne, step, drogi, wszystko zostaje opanowane i znajduje się pod działaniem tej plagi. Człowiek nie może otworzyć ust, gdyż owady wpadają do gardła, podróżni jadący samochodem, którego szarańcza zaszkodzi na drodze, nie może się poruszać, gdyż owady wiskają się do kabiny lub przysilniają pole widzenia. W latach szarańczy klęska jest kompletna, a w tych miejscach, które nawiedziła, nie można nawet myśleć o jakichkolwiek zbiorach. Jedynie ludność czarna po kimbach cieszy się w tym czasie przysmakami: po obskubaniu skrzydeł i przypieczeniu, z apetytem spożywa szkodniki. Muszą one posiadać jakiś specyficzny, przyjemny smak, skoro w starożytności Rzymianie uznawali je za wyszukaną potrawę, podawaną tylko na wykwintnych ucztach.

Zbliżamy się do pola pomarańczowego. Posadzone rzędami, z zachowaniem równej odległości, małe drzewka ciągną się daleko. Całe pole jest starannie utrzymane. Czarni robotnicy oczyszczają je z chwastów i niepożądanych roślin, inni opodal doprowadzają wodę przy pomocy wykopanych kanałów.

— Zapytywał mnie pan, czy nie tęsknię i nie odczytam nostalgia za Europą — odzywa się pader José. — Czy nie jest tu pięknie? Spokój, cisza i to słońce promienne. Czy mogłbym pracować w Europie z większym pożytkiem dla chwały Boga? Jeśli tylko ataki febrы nie pozbawiają mnie sił, pragnę pozostać i pracować tutaj do końca życia.

— I pan zażęknął do Afryki — dodaje po chwili ujmując dion moją na pogęgnanie w serdecznym uścisku — ma ona w sobie coś przyciągającego nas Europejczyków. Znam więc misjonarzy i ludzi świętych, którzy po powrocie na nasz kontynent odczuwali jakis brak, czego nie byli w stanie sobie uświadomić. Ale zawsze w ich wyobraźni pozostał kraj błękitnego nieba i wiecznie ośniewającego jasnością słońca, a w pamięci głęboko utkwilo życie bezpośrednie z przyrodą i obcowanie z naturą nie skazaną ręką ludzką. Wspomnienia te tak silnie zrosły się z ich wyobraźnią, że ustawicznie wywoływały nieprzewidywaną chęć powrotu. Afryka posiada jakiś tajemniczy urok.

W. Ręczlarski



Msza św. dla alumnów



Kaplica w seminarium w Quipeio.

Najczęściej spotykane są węże kasażące, które nierazdo składają wizyty po domach mieszkalnych, choć nie zawsze są groźne, same bowiem nigdy pierwsze nie atakują, a tylko nieszcześliwie nastąpienie na plaża w miejscu umożliwiający mu wpicie paszczykę w ciało, zazwyczaj powyżej stopy, przy przebiegu, może spowodować zakażenie i śmierć. Podobnie wypadki należą do rzadkich i najczęściej wywołane są niewagą. Nawet w ostatniej chwili węża takiego można złapać za ogon, podnieść do góry i uczynić nieszkodliwym.

gorzej natomiast przedstawia się położenie podróżnika, gdy napotka węża plującego (serpent oracheur). Gatunek ten, mniej rozpowszechniony, jest wyjątkowo groźny, plaż niesporokowany, a co gorzej często nieuważawony, zaszyty głęboko w trawie, może dosięgnąć człowieka z dalszej odległości. W chwili ataku leń podnosi do góry a z paszczyki wypływa jad nieraz na odległość kilku metrów przed siebie. Jeśli ciecz padnie na usta i część jej przedostanie się do wnętrza organizmu, powoduje śmierć, gdy zaś pokryje przetrzeń okalającą oko, wywoła nieuniknioną ślepotę.

Mniej groźnie przedstawiają się wielkie jaszczurki, ukryte w płytkich jamach, położonych niekiedy w pobliżu ścieżek. Długość ich waz z ogonem dochodzi czasem do półtora metra, a ciemno-brązowa powłoka z jasnym pasem wzdłuż łuskowatego grzbietu o ładnym rysunku, pokrywa ich korpus, tworząc cenną i poszukiwaną odzież w galanterii skórzaney. Tysiące pięknych jaszczurek kręci się tutaj wzdzie. Szybko biegną po ziemi lub zrzędnie wdrapują się na drzewa a nierazdo w pośpiechu zająrą do pokoju. Polyskują swoim efektywnym ubarwieniem,

rysach, przebiega wyraz głębokiego uduchowania, a z wielkich niebieskich oczu spogląda prawdziwa i niewysłowiona dobroć.

— Należy pan do niezmiernie rzadkich gości — odzywa się pader José — Misje w tym kraju niekiedy mają szczęście, że ktoś z podróżnych do nich zawita, ale my żyjemy w zupełnym odosobnieniu i bez styczności ze światem i ludzmi. Złazka osób z kontynentu europejskiego nie spotykamy, a jedyny kontakt, jaki utrzymujemy, aby zdobyć potrzebne wiadomości, polega na słowie pisany lub drukowanym. Tylko zarządzający stroną gospodarstwa Portugalczyk i ja należymy tutaj do białej rasy. Zjemy wśród grona kilkuset tubylców, a pracę duszpasterską i pedagogiczną w seminarium prowadzi już ojciec tuziemcy. Trzej księża tubylcy mają staranne wykształcenie, a jeden z nich, którego pan pozna przy śniadaniu, niedawno powrócił z Rzymu, gdzie odbywał uzupełniające studia. Poza duchownymi, nauką w seminarium kierują czterech nauczyciele tuziemcy, byli nasi wychowankowie. Rezultaty naszych wysiłków w przeszłości w tym kraju były nie tak wielkie i miały ograniczony zasięg, gdyż pracę misyjną podejmowali tylko biali misjonarze. Portugalczycy przeważnie ograniczają się do działalności po większych miastach i osiedlach, prowadząc pracę raczej o charakterze administracyjnym. Cały więc ciężar i odpowiedzialność za zdobywanie człowieka czarnego, żyjącego w zupełnie prymitywnym stanie w głębokiej brussie, dla naszej wiary i Kościoła spoczywa dotychczas na barkach garstki misjonarzy obokrajowców. Było to zadanie przerażające ich siły i nie mogło przynieść wyników w szerszym zakresie,

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

DOROCZNY APEL MIŁOSIĘDZIA

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Amerykańskiego arcybiskup Karol Alter wystosował doroczny list, zapowiadający, zgodnie z ostatnią uchwałą Episkopatu, zbiorke fundusów w niedziele Laetare na pomoc dla ofiar komunizmu. Zbiórka ta odbędzie się w niedziele 20 marca w wszystkich kościołach Stanów Zjednoczonych i przyniesie, jak w latach ubiegłych, ponad pięć milionów dolarów w gotówce.

W liście swym arcybiskup Alter stwierdza, że konieczność charytatywnej pomocy dla ofiar komunizmu nie zmniejszyła się wcale, ale jeszcze bardziej została spotęgowana. Oprócz uchożdoz zza żelaznej kurtyny w krajach Europy i Bliskiego Wschodu, równie ludność Wietnamu, Pakistanu, Hong Kongu i Korei, w wyniku bezpośredniej agresji komunistycznej, oczekuje pomocy materialnej od katolików amerykańskich.

Pieniądze, uzyskane z kolekty Laetare, przeznaczone są głównie na pokrycie kosztów transportu lekarstw, żywności i odzieży dla potrzebujących. Natomiast odzież, lekarstwa i żywność pochodzą częściowo z dobrowolnych ofiar wiernych, z zbiorke materiałów w tak zwanej Kolekcje Dziekczynienia, oraz częściowo ze składek rządu amerykańskiego, który chętnie oddaje do dyspozycji organizacji charytatywnych pewne zapasy. Z zapasów tych pochodziły również dary gwiazdkowe, które w wielu milionach funtów rozdzielono w okresie Bożego Narodzenia wśród ludności potrzebującej różnych krajów. Ze strony katolickiej rozdzielaniem pomocy w krajach zamorskich zajmuje się katolicki Relief amerykański, zwany NCWC War Relief Service, którego dyrektorem są ks. prałat Edward Swannerton i ks. prałat Alojzy Wycislo, polsko-amerykański kapłan z archidiecezji chicagowskiej.

*) almoço — drugie śniadanie.

HENRIETTE BOWER

COPYRIGHT BY „ZYCIE“

SAMA WŚRÓD FILMÓW W ROSJI

Powrócił szczęśliwie po miesięcznym pobycie w Rosji. Zesłałem z udeptanych ścieżek, zobaczyłem to, czego się nigdy ujrzeć nie spodziewałem, zwłaszcza filmy. Przeznaczaniem ich jest potęgowanie strachu przed Zachodem i rozpalenie nienawiści do tegoż Zachodu i do Ameryki.

Miałam nadzieję, że gdy je skrytykuje natychmiast na najwyższym szczeblu, do którego dotrzeć zdołam, to jest wobec członków Wierchownego Sowieckiego i wobec wiceministra Filmów i Kultury, to — być może — zatrzymam powódz filmów produkowanych po to, by oszukać i zwiść lud rosyjski i zaognić stosunki międzynarodowe.

Otrzymałam zaproszenie, by studiować na miejscu sowieckie filmy dla dzieci. Wielu moich znajomych, którzy wiedzieli, że jestem zawzięcie wytrwała i szczerą, zęgnali mnie przekonani, że mnie już nie zobaczą.

Moje dzieci błagali mnie, bym sama nie ruszała w tę drogę, a mój mąż zgodził się na tę moją wyprawę pod warunkiem, że dam formalne pełnomocnictwo naszemu zastępcy prawnemu.

Ja się obawiałam tylko tego, że mnie tu uznają za komunistkę, jako że oprócz mnie żadna katoliczka i konserwatystka takiego zaproszenia nie dostała. Wiedziałam, że staną przede mną otworem drzwi normalnie zamknięte przed dyplomatami i korespondentami dzienników.

Musiłam się też upewnić, że przyjęcie tego zaproszenia nie pociągnie w przyszłości za sobą zakazu wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Mam siedem

Sowieckiej. Pokaz odbył się w biurach Stowarzyszenia Dziennych Złóbków dla dzieci. Wystawiłam tam mój własny zbiór zdjęć ultraczerwonych, ilustrujących reakcje dzieci na filmy. Nie przypuszczałam, że te moje słowa uznania będą bardzo starannie zanotowane, ani że płać sekretarka Stowarzyszenia jest równocześnie honorową sekretarką organizacji — potępionej przez angielską Labour Party — pod nazwą Narodowa Organizacja Kobiet (National Assembly of Women). Sowiecki Antyfaszystowski Kobiety Komitet w Moskwie posługuje się tą własną organizacją, by wybierać uczestniczki wycieczki do Rosji. Koszt takiej wycieczki wynosi około tysiąca rubli od osoby.

Kiedys w Rosji zadałam pytanie: „Dlaczego zaprosiliście właśnie mnie? Wiedzieliście chyba, że się nie dam zastraszyć?” Odpowiedź brzmiała: „Mielimy wrażenie, że bądź co bądź można polegać na tym, że pani będzie uczciwa i że pani będzie o Rosji mówić prawdę!”

Polecieliśmy do Moskwy spędziliśmy po drodze jedną noc w źle oświetlonej, smutnej Pradze. Dzieliłam przez noc pokój z jedną z towarzyszek wycieczki. Zmierzaliśmy, że chodzi o to, bym nie podać przedwstępnej propagandzie, ale chrapałam tak rozgłosnie i modliłam się tak długo, że odtąd zawsze już miałam pokój dla siebie.

Napisy, którymi pokryte było lotnisko w Pradze, nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że jesteśmy poza żelazną kurtyną: „Czechosłowacja — krajina radosnej pracy dla pokoju!” — „Pieśni nasze mówią o kolchozach, o

Henriette Bower jest znaną działaczką katoliczką brytyjską, która jako jedyna katoliczka i członkini Partii Konserwatywnej została zaproszona wiosną ub. roku do wzięcia udziału w zbiorowej wycieczce do Rosji, organizowanej przez prokomunistyczne koła w Anglii. Jest ona matką siedmiu córek i b. prezeską Stowarzyszenia Matek Katolickich (Union of Catholic Mothers) oraz powaga w zakresie studiów nad wychowawczą wartością filmów dla dzieci.

Powyższy artykuł, ilustrowany oryginalnymi zdjęciami autorki, dokonanymi w czasie jej zesłorocznego pobytu w Moskwie, poświęcony jest filmowi sowieckiemu, zwłaszcza dla młodzieży.

binów!” Zadałam sobie trud, by jej tłumaczyć, że każda z tych gwiazd waży jedną tonę, a promienie ich mają około 19 stóp długości. Zewnętrzna warstwa jest zrobiona z „rubinowego szkła”, które się fabrykuje z domieszki tlenku metali do zwykłych składników szkła.

Różnorodność poglądów i wrażeń wywoływała dyskusje, podniecała zainteresowania, co urozmaicało całą wyprawę.

Gdy razu pewnego burza śnieżna zatrzymała nas przez 21 godzin na lotnisku, zrobiłam uwagę: „Któż by tu chciał żyć w Rosji w takim klimacie, pomyśleć tylko, o ile zimniej musi być na Syberii?” Zadano mi wówczas pytanie: „Czy pani nie słyszała, że zmieniają klimat Syberii przez zalesianie?”

Różnica poglądów osiągnęła punkt szczytowy nasilenia w ośmiogodzinnej reakcji moich towarzyszek na zaproszenie całej delegacji do brytyjskiej ambasady w ostatniej chwili przed odlotem z ZSSR.

Nasza przewodnicząca tała to zaproszenie przez cały tydzień, po czym wysłała na nie warunkową zgodę, gdy się przekonała, że jedna grupa delegatów postanowiła z zaproszenia skorzystać. Początek moskiewski po upływie trzech dni doreczyła te odpowiedzi w ambasady na pół godziny przed wyznaczonym na przyjęcie czasem.

W chwili gdy zadzwonił z ambasady, by się upewnić, czy ktoś z nas przybędzie, na korytarzu hotelu toczyły się jeszcze gorące dyskusje między dwoma zwalczającymi się grupami, podczas gdy niezdeterminowane jednostki stały na boku. Rosjanie byli wściekli z powodu tego zaproszenia i sprytnie przygotowali równocześnie inne spotkanie z członkami Wierchownego Sowieckiego. Przewodnicząca delegacji powiedziała: „Umywam ręce, niech każda robi co zechce”. Skrajne elementy odosłoniły przybić, nie chciały, by którakolwiek z nas udała się do ambasady. Przyczyna zaproszenia grupa trzymała się ostro, w końcu zapytała mnie: „Jak się tam można dostać?” Wydybałam kilka rubli i powiedziałam: „Możemy wziąć taksówkę”.

Widok moich rubli przechrzył szale decyzji naszej rosyjskiej przewodniczki, wyznaczonej na ten dzień. Zrozumiała, że za wszelką cenę chcemy dotrzeć do ambasady, wobec czego zaproponowała szybko urzędowe auto. Wpierw jednak zarzuciła mi, że nie zachowuję się kulturalnie, bo się pyszni swoimi rublami.

To oświadczenie stało się przyczyną jej porażki i ostatecznie uczestniczki wycieczki zdecydowały, że pojedą. Zjawiły się w ambasadzie z jednogodzinnym opóźnieniem.

Kilka delegatów postanowiło wszakże wejść tylko na chwilę, by oświadczyć, że nie mogą pozostać i nawet nie chciały zdjąć swych ciężkich okryć. Szybko zdjęłam płaszcz i powiedziałam głośno: „Nie można tak obrażać ambasadora”. Poszłam pierwsza po schodach na górę. Spojrzałam w dół, gdzie sekretarze stanowczymi ruchami zdejmowali z tych pań okrycia i kierowali je na schody. Wszędzie nieporozumienia utonęły gładko i szybko w kieliszkach ambasadorskiego sherry.

Różnice poglądów zaznaczyły się w chwili, gdyśmy przedstawiły naszym gospodarzom spis tego, co chciałyśmy zobaczyć, obok tego, co oni nam chcieli pokazać. Oprócz kin, na których przedstawiały specjalnie mnie zaproszono, chciałam zwiędzić jeden z zajętych przez Rosję obszarów: pań-

stwa bałtyckie albo „Zachodnią Ukrainę”. Ku mojemu zdumieniu zyczenie to odrzuciła przewodnicząca delegacji i sekretarka, bez żadnej o mnie wzmianki. Odmówiono mi na zasadzie, że jest to za wielkie wymaganie dla gospodarzy, skoro nikt inny nie pragnie się tam udać; poza tym oświadczone mi, że „jestem zaproszona do studiowania filmów, a nie spraw religijnych”.

Ta odmowa była bardzo żrącym pociąganiem, bo uniemożliwiała mi twierdzenie, jakoby Rosjanie nie pozwolili mi zwiędzać tych terytoriów, o których dobrze wiedziałam, że są jeszcze dla obokrajowców niedostępne.

Przeżyłam pierwszą rundę i przystąpiłam do studiowania filmów.

Zdałam sobie sprawę, że wynikiem nieporozumienia, gdy mi oświadczone: „Obraziła pani naszych gospodarzy, bo pani nie zwiędziła biblioteki Lenina. Opuściła pani dobrą sposobność”.

„Wszystkie biblioteki są jednakowe” — odciełam się.

Po tym ataku na mnie nastąpiła uchwała większości naszej delegacji, że program obecny ustalony z Rosjanami musi być przez wszystkich wykonywany przez cały czas pobytu.

Program ten był bardzo męczący i bardzo pełny, toteż wkrótce stał się przyczyną przemęczenia moich towarzyszek. Studiowanie kinematografów stałoby się zupełną farsą, gdybym chciała trzymać się tego programu.

Oto jak wyglądał plan wzięcia nas w kluby!

Poirtowana zaznaczyłam, że gdybym się poddała takiej presji większości na mniejszość, to po powrocie do Anglii nie pozostawałoby mi nic innego, jak mówić, że mnie „zupełnie zawiedli” i że „zaprosili mnie pod fałszywym pretekstem”. Udało mi się, bo stanowisko to podzieliła ze mną docentka uniwersytetu. Toteż i na nią skierowałam ostrzał, bo prosiła o zgodę na pozostanie w Moskwie, gdzie chciała zwiędzić szkoły, zamiast lecieć do odległego o 2500 mil Uzbekistanu.

Jedna z Rosjanek, przydzielona do wycieczki jako przewodniczka, szła za mną po schodach. „Mówią, że pani jest bardzo zrytowana?” — „To prawda — odrzekłam — ale nie gniewam się na gospodarzy-Rosjan, tylko na tę grupę delegacji, która się zachowuje nieprzyjaciełnie i dąży do tego, by każdej rozkazywać i każdą dyrygować.” Nie powiedziałam jej tego, że obecnie mam już pewność, iż ta właśnie grupa jest w rzeczywistości powolnym narzędziem w rosyjskich rękach.

Następnego ranka — wiedząc, że śledzą moje ruchy — wstałam umyślnie bardzo wcześniej dla zaznaczenia mojej niezależności i dlatego, że chciałam zobaczyć jak Rosjanki robią zakupy. Nigdy nie zauważyłam, bym nie ktoś siedział, ale zawsze dokładnie mnie wypytywano, gdy wracałam na śniadanie. Dokładałam starań, by wracać na początek programu dziennego wycieczki, ale ani przypadkiem, ani celowo nie pozostawiano mnie na boku. Zapytało mnie, ku memu zdziwieniu, czy chciałyby oglądać rano filmy, zamiast trzymać się z delegacją, która zwiędzała fabryki tkackie. Później się dowiedziałam od naszej plotkarki, że podczas zebrania, które się przeciągnęło późno w noc, zdecydowano zostawić mi wolną rękę, raczej niż doprowadzić do tego, bym za powrotem mówiła, że się zawiodłam. Po dalszych naciskach docentka też wywalczyła zgodę na pozostanie w Moskwie, gdzie zwiędzała szkoły.

Ciągle jeszcze nie miałam rubli, bo

gdy poprosiłam o mój paszport, oświadczone mi, że go nie ma w hotelu. Paszporty trzeba oddawać w hotelu zaraz po przyjeździe. Gdy ponownie poprosiłam o zwrot paszportu, by się z nim udać do banku, Rosjanka-przewodniczka powiedziała: „Na co pani pieniądze? Otrzymała pani wszystko, czego pani potrzeba.” — „Cnice — odrzekłam — mieć możność kupowania biletów kinowych itd.” Ona otworzyła torebkę i ofiarowała mi ruble. Odpowiedziałam uprzejmie, że mogę przyjąć gościnnie, ale nigdy nie wezmę pieniędzy na osobiste potrzeby. W końcu ustąpiła i pozostawiła mi ruble. W końcu przemyśliłam, by odszukać bank, gdzie urzędnicy byli bardzo uprzejmi. Zauważyłam, że banku tego strzegą i milicjanci i żołnierze.

Bez znajomości języka rosyjskiego, w coraz innym, nieznanym mieście robiłam wypadki zupełnie sama, uzbrojona w kartkę, na której były napisane słowa po rosyjsku: „Proszę mi wskazać drogę do kina”.

Miałam stałe poczucie, że przeżywam „przygode”.

W przeszłym leninogradzie, niby w Paryżu, obramionym kanałami Wenecji, nie udało mi się odszukać okienka, w którym sprzedają bilety. Kino mieściło się bowiem w labiryncie dawnego pałacu. Na szczyście wspaniałej klatki schodowej za pomocą znaków porozumiewaliśmy się z uprzejmym Rosjaninem, który zniknął wraz z moimi rublami. Powrócił wnet z biletem i wskazał mi miejsce w ogromnej — niegdyś balowej — sali. Tam oglądałam film, który był skąd inąd zupełnie niedostępny dla członków naszej delegacji.

Zaczynał się ten film od sceny, w której grupa amerykańskich oficerów w mundurach pochylona jest nad mapami. Bez trudności można było śledzić przebieg akcji nie rozumiejąc po rosyjsku; widowisko było brutalne i wraskliwe. Pomyliłam się tylko w szczegółach. Zdawało mi się, że Amerykanie robią doświadczenia z bakteriami w probówce, podczas gdy mieścił się w niej smercionośny pył atomowy. Ta moja pomyłka doprowadziła następnie do stwierdzenia, że porobiono faktycznie tak zwane filmy dokumentarne z „wojny bakteriologicznej”.

Owaj pył atomowy był to najnowszy wynalazek uczonego. Grupa ludzi interesu, związanych z gangsterami, chciała, jak mówić, że mnie „zupełnie zawiedli” i że „zaprosili mnie pod fałszywym pretekstem”. Udało mi się, bo stanowisko to podzieliła ze mną docentka uniwersytetu. Toteż i na nią skierowałam ostrzał, bo prosiła o zgodę na pozostanie w Moskwie, gdzie chciała zwiędzić szkoły, zamiast lecieć do odległego o 2500 mil Uzbekistanu.

Widoczne ofiary murzyńskie uznano za najlepszą propagandę, toteż zaareztowano w jednym z południowych

Jedna scena przedstawiała mocno strzeżone laboratorium. Zdawało mi się, że to jest więzienie, aż zauważyłam, że siedzą tam za kratami małpy, a nie ludzie. W pracowni uczonego otworzył się safe, utworzono wydybotażen próbkę smercionośną w obecności grona businessmenów, by im zademonstrować działanie jej zawartości. Byli bezpieczni za szklaną szybą. Małpy zaczęły się miotać w bolesnych wyjąkach okropnie, po czym zapadła głucha śza...

Była długa scena rozmowy duchownego z żoną uczonego; mogliśmy się tylko wówczas domyślać, że religię przedstawiono jako zupełnie głupstwo, ale postanowiliśmy to stwierdzić. Udało mi się, bo film ten wyświetlano w krajach satelickich. Duchowny twierdził, że na seansie wywołał wizję Chrystusa; następnie mówił, że Chrystus powiedział wszystkim obecnym na tym seansie, że Stany Zjednoczone mają zaatakować jak najprędzej komunistów. Chrystus miał powiedzieć, że będzie błogosławił armie Stanów Zjednoczonych i że wskutek tego armie te będą niezwyciężone. (Trzeba zwrócić uwagę, że jest to wpleciony atak na religię, a równocześnie wiara przedstawiona jako wróg ZSSR i „pokoju”).

Zona uczonego zachowuje się brutalnie wobec służącej Murzynki, której syn był jednym ze skazanych. Wszystkie prawie postacie na filmie są podłe i złe w przeróżnych formach, np. syn uczonego wykrada jedną z smercionośnych probówek ojca, by zamordować współzawodnika. Ale probówka pęka mu w kieszeni i on sam ginie w mękach na oczach ojca. Okropności przedstawiane na tym filmie starczyłyby na tygodnie zmór nocnych u dzieci. Wreszcie „partyzanci pokoju” w południowych Stanach odsłaniają fałsz szarżowat przeciw Murzynom. Organizacja ta, to kopia ruchów, które komunistki podsycają we wszystkich krajach. Owi Murzyni widzą w tym amerykańskim ruchu pokoju i przyjaźni wybaczenie, który ich uratował od elektrycznego krzesła.

Jedynym przyzwolonym rysem tego filmu są prześliczne i skromne suknie amerykańskich kobiet; purytanizm bierze górę nad stekiem kłamstwa. Podobnie dzieje się w zakresie sukien i kostiumów na scenie i w balecie.

Scenariusz tego filmu pt. „Srebrny pył” napisał odznaczony nagrodą Stalina autor August Jacobson. Film jest przeróbką utworu scenicznego pt. „Szakale”, opublikowany był w 1952 roku i wystawiony na scenie w Pradze w 1953 roku, jako część programu w obchodzie przyjaźni czesko-sowieckiej. Wyreżyrował tę sztukę znany sowiecki dyrektor Rom. Główny aktor filmowy Tisse jest niewątpliwie wysoce utalentowany.

By produkować takie filmy, ci świetni aktorzy oddają swe zdolności na



Ogonek przed kinem „Forum” w Moskwie. Filmy wyświetlane są w niedzielę rano.

Copyright by H. Bower

córek, któraś z nich może wyjść za mąż za Amerykanina. Na szczęście mój mąż — od lat 14 konserwatywny poseł do parlamentu — był przeciwnikiem układów w Monachium i w Jalcie. On też pierwszy ostrzegł słusznie, że miejsce hitlerizmu zajęło większe niebezpieczeństwo, które nam grozi ze strony Stalina i jego bandy. Takie ostrzeżenia były wówczas bardzo niepopularne i zupełnie odosobnione.

Idąc za radą mego męża, postarałam się o powazne gwarancje od sfer oficjalnych i to mnie skłoniło, by zaproszenie przyjąć. Wiedziałam też, że mogę liczyć na pomoc naszej ambasady w Moskwie. Następnie wniosłam podanie do Skarbu Państwa o przydział rubli „w celach obserwacji”, bo w inny sposób nie można było dostać tej waluty.

Gdybym była tej sprawy nie załatwiła pomyślnie, byłabym w Rosji bez grosza, a więc musiałabym oglądać tylko te filmy, na które nasi gospodarze zechcieli mi dać bilety, nie mogłabym wziąć taksówki ani wsiąść do autobusu.

W zaproszeniu zaznaczono, że pieniądze brać ze sobą nie potrzeba ani na podróż ani na pobyt. Niemniej bardzo się zdziwiłam, że żadna z moich towarzyszek nie postarała się o ruble, a tylko dwie z nich przyjeły ofiarowaną im przeze mnie pożyczkę. Dwie inne, które zabiegały o szybką wypłatę pieniędzy za przemówienie do radia rosyjskiego — co im chętnie przyrzeczono — rozczarowały się bardzo. Dopiero w ostatnim dniu pobytu rozdzielono te zarobki w różnej dla każdej z nas wysokości na zakup pamiątek. Reszta moich towarzyszek była zupełnie zadowolona, gdy się udawały tam, dokąd je prowadzono, lub dokąd mogły zająć piechotę. Po powrocie jedna z nich oświadczyła zdumionemu reporterowi: „To było wspaniałe, że nie trzeba się było troszczyć o pieniądze przez cały miesiąc. Wszystkiego nam dostarczali!”

Skarb Państwa załatwił przychylnie moje podanie. Bank, w którym mam konto, przekonał się, że nie można dostać w Londynie ani rubli ani waluty któregośkolwiek kraju za żelaznej kurtyny. Musiałam więc poprzestać na czekach podróżniczych (traveller's cheques).

Jakże do tego doszło, że otrzymałam zaproszenie na najciekawszą i najbardziej męczącą wyprawę w moim życiu? Wynikło to st. i, że powiedziałam kilka słów pochwalnych o dwóch doskonałych sowieckich filmach dla dzieci w lipcu ubiegłego roku. Wpływ kina na dzieci interesował mnie bardzo, zwłaszcza od czasu, gdy mi rządowy komitet zlecił na przeciąg dwóch lat badanie związanych z tym problemów.

Zagadnienia te tak mnie zajęły, że przeprowadzałam dalsze badania, wygłaszałam odczyty i pisałam artykuły. Toteż zaproszono mnie na pokaz filmów w Towarzystwie Przyjaźni Anglo-

nowych lanach, o wielkich budowalachi!”

Fantastycznie wygórowane ceny uniemożliwiły kupno pamiątkowych drobiazgów, postanowiłam więc zmienić walutę czeską na ruble. Ale w banku na lotnisku powiedziano mi, że to nie jest możliwe, więc poprosiłam, by mi wrócono funty. Ale i to było niemożliwe; mogłam tylko zostawić całą kwotę „w depozycie”, na wypadek powrotu do Pragi. Zrozumiałam, że słowa „albo wydasz albo ci przepadnie” winny być wypisane nad wejściem do tego banku

Pierwszy nakaz komunistyczny, który musiałam wykonać, żądał włożenia do walizki aparatu fotograficznego w chwili, gdyśmy weszli do wnętrza obrapanego samolotu rosyjskiego. Flegmatyczna rosyjska stewardessa siedziała sztywnie w chwili odlotu. Nie było pasów bezpieczeństwa, nie podawano słodyczy, a gdy ona niewiasta wydołała chustkę i obwiązała nią głowę, zrozumiałam, że zostawiliśmy za sobą stroje i fatałaszkę, a wraz z nimi szyk i elegancję.

W Moskwie na lotnisku oczekiwali nas wieloosobowy komitet powitalny. Każdej z nas wręczono bukiet. Wjechalśmy do miasta w orszaku wspaniałych aut. Używa ich — jak się przekonałam — nowa, liczna warstwa panującej inteligencji. Warstwa ta, która tak jak na Zachodzie, uczęszcza do drogich lokali, je, gra, tańczy, zdumiała mnie swą liczbą. Poruszyło to też głęboko większość uczestniczek naszej wycieczki.

W skład naszej delegacji wchodziły kobiety o lewicowych poglądach, Angielki z różnych warstw społecznych. Ja byłam jedyną konserwatystką. Była wśród nas lekarka, docentka uniwersytetu, architektka, dwie członkinie rad miejskich, robotnica z fabryki tkackiej i kilka zamężnych kobiet, byłych nauczycielek. Spośród 14-osobowej delegacji trzy — oprócz mnie — były rzeczywście obiektywne. Skrajne lewe skrzydło, bo nikt się do komunizmu nie przyznawał, zajęło się naiwnymi i szczerymi, ale łatwowiernymi socjalistkami. Były to „entuzjastki pokoju”, które jak gąbki chłonyły wszystko, co im mówiono. Dwie cechy charakterystyczne krańcowe typy: ciasnota umysłu i gorliwość w głoszeniu poglądów komunistycznych.

Pierwszego wieczora w Moskwie zdarzył się wypadek, który dobrze zilustrował ciasnotę umysłową: jedna z tych niewiast przybiegła do mnie podniecona i oświadczyła, że pięć wielkich gwiazd czerwonych, które błyszczą nad Kremlem zrobiono z „prawdziwych rubinów”. Odpowiedziałam: „Proszę popatrzeć na ich rozmiary, całe bogactwo Związku Sowieckiego nie byłoby w stanie jednej z nich zrobić z prawdziwych rubinów.”

Zbita z tropu, ale bynajmniej nie przekonana, odrzekła: „Tumacz mi, że brzęgi dookoła tych gwiazd są z prawdziwych ru-

SUBSKRYPCJA NA LUTY 1955

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS”

12. PRAED MEWS, LONDON, W. 2

FERDYNAND GOETEL

CZASY WOJNY

(1939 — 1945)

Autor, wybitny pisarz polski, prezes Polskiej Akademii Literatury, opisuje w sposób odważny i oryginalny życie Kraju pod okupacją niemiecką, likwidację getta warszawskiego, swój pobyt w Katyniu, Powstanie Warszawskie, a po zakończeniu działań wojennych przeżycia w obozach uchodźców w Niemczech i w Drugim Korpusie we Włoszech.

Okres subskrypcyjny na tę książkę trwa do 28 lutego 1955.

CENA W SUBSKRYPCJI (z opak. i przesył.): zył. 9/-. Po tym okresie książka kosztować będzie: 15/-.



Dzieci oczekujące na otwarcie kina.

Copyright by H. Bower

stanów kilku uczciwych Murzynów, którzy demonstrowali — oczywiście — na rzecz pokoju. Zaareztowano ich pod zarzutem dokonania zmyślonego gwałtu.

Na filmie było widać, jak ich amerykańscy rośli policjanci biją brutalnie kijami i wtrącają do więziennej karetki. Następuje okropna scena: biała prostytutka przekupiona przez urzędników sądowych podpisuje, bardzo niechętnie, fałszywą deklarację zdając sobie sprawę, że na tej podstawie zapadnie na Murzynów wyrok śmierci na krześle elektrycznym. Dokumentarne, prawdziwe taśmy nagłówek z amerykańskich gazet pouczyły mnie w odpowiedniej chwili o przebiegu rozprawy sądowej, a na zakończenie wyczytałam, że: „Sześciu Murzynów skazano na śmierć”. Tłumacz powtarzał po rosyjsku te nagłówki, które na filmie były w języku angielskim, w miarę jak ja je odczytywałam w oryginalnym brzmieniu. Był to jeden z najgorszych rysów tego filmu. Cała historia nabierała dzięki temu pozorów rzeczywistości i autentyczności. Chodziło o to, by co najmniej widzowie uznali, że ten film przedstawia prawdę i by zapomnieli, że patrzają na zmyśloną baśń.

Ustał nakazom Partii Komunistycznej, chodzi im o stanowiska, a nawet o zachowanie życia. Państwo jest jedynym pracodawcą w zakresie sztuki, a to wystarczy, by podkopać ich morale, bo ci inteligenci muszą wiedzieć, że kłamią przedstawiając podłość jako rys charakterystyczny Amerykanów. Co gorzka muszą oni wiedzieć, że większość Rosjan nie ma żadnej możliwości, by zdobyć informacje poza tym, co oni przedstawiają w taki czy i zbrodniczy sposób.

Słyszałam wielokrotnie, jak Rosjanie ubolewali nad bezwzględnością filmów zachodnich. Mówili, że nigdy by nie pozwolili swym dzieciom oglądać takich filmów. Uważam, że jest to czysta hipokryzja, chyba że wszyscy, którzy to twierdzą, bardzo starannie chronią swe dzieci przed „Srebrnym pyłem” i tego rodzaju filmami. Nie łatwa to sprawa, skoro „Srebrny pył” wyświetlano w 20 spośród 44 kin moskiewskich. Ja sama widziałam multum dzieci na tym filmie.

(Ciąg dalszy w numerze następnym)

(Tłum. M. Dubanowiczowa)

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 6 lutego 1955.

LIST ZE STANÓW ZJEDN.

Stanowisko Polonii

„Wszehwidzący” i dlatego zapewne bardzo powierzchowny Londyńczyk z paryskiej „Kultury” napisał ostatnio o „autokefalicznym” Skarbie Narodowym w Ameryce, twierdząc z całą gwarancją, że „w ten sposób Skarb Narodowy w Ameryce oderwał się całkowicie od centralnych londyńskich i de facto ogłosił samodzielną organizację”.

Nie ma w tym sprzeczności i ocenie dostojnie ani słowa lub choćby cienia prawdy.

Na temat sytuacji wśród Polaków w Stanach Zjednoczonych krąży od pewnego czasu tatarskie wieści i raz po raz słyszy się o różnych tendencjach polsko-amerykańskich, mających na celu „uniezależnienie się” tutejszego środowiska od ośrodków polskich w Londynie. W ocenie p. Londyńczyka te bałamutstwa przybrały szczególny rozmiar, właściwy upodobaniem i metodzie myślenia tego płodnego, ale bardzo niezrównoważonego pisarza.

W rzeczywistości bowiem wśród środowiska polskiego (to jest wśród Polonii amerykańskiej i nowej emigracji) nie dzieje się nic szczególnego, co mogłoby wzbudzać czyjekolwiek obawy czy podniecać czyjekolwiek nadzieje. Czy to atmosfera tego kraju, czy realne warunki, wśród jakich się tu żyje, czy szersza perspektywa sprawująca jedynie, że wszyscy bez wyjątku i bez względu na różnice polityczno-partyjne, szarżowate i przewody, oceniamy pewne zjawiska inaczej niż one wyglądają z Londynu.

Dla przykładu: od pierwszej chwili kryzysu wewnętrznego wśród emigracji byliśmy tu wszyscy jednakowego zdania, że nie należy wybierać drugiego Prezydenta, nie dlatego, że to byłoby z czymś zgodne czy nie zgodne, ale ponieważ praktyczne następstwa tego rodzaju decyzji pograżyłyby sprawę polską do reszty. Tu jest to widoczne dla każdego Polaka, znajdującemu się nawet na najniższym stopniu hierarchii polityczno-społecznej; widzi to zarówno Polonia, jak nowa emigracja i po prostu nikt nie może tu pojąć, dlaczego ta oczywista sprawa budzi różne namietności i spory w Londynie.

miast prezes Rozmarek i inni liderzy Polonii byli i są zawsze przedstawicielami określonych interesów Polonii, a raczej jej odłamów i grup, operujących własnymi założeniami i celami, które łączą się z wewnętrznymi sprawami polonijnymi, a nie z problemem polskim. Są to więc interesy dotyczące wpływu Polonii w życiu amerykańskim, skomplikowane zagadnienia obsady personalnej urzędów amerykańskich, sprawy kluczowych pozycji w wielkich organizacjach polonijnych (ubezpieczeniowych), co dwa lata wybory amerykańskie itd. W tym wszystkim przeważają się stale motywy związane ze sprawami polskimi w polskim słowa tego znaczeniu, które raz w ten a raz w inny sposób — zależnie od potrzeb — są zaznaczane w tym dużym problemie, który nazywamy życiem Polonii.

Polonia jest gotowa zajmować się sprawą polską, byle była ona prosto sformułowana, miała jasno określone zadania, jeszcze prostsze metody działania. Wszelkie powikłania w typie ostatniego kryzysu, w którym jak w szybkim kalejdoskopie przewijają się dziesiątki nazwisk, w którym to, co było wczoraj jasne, dziś staje się czarne i na odwrót, gdzie tym, do których wczoraj wysyłano depesze, dziś udziela się słowa nagany i potępienia — to wszystko jest dla Polonii obce, bo niezrozumiałe. Nikt nie namówi Polonii amerykańskiej do zaciągnięcia w szeregi wojny domowej na wzór Londynu.

Polonia wie, że po wojnie istnieje na emigracji Prezydent i Rząd, że głównym żołnierzem polskim jest dziś gen. Anders, że gen. Sosnkowski był i jest największym autorytetem, któremu należy się szacunek i zaufanie, że należy składać pieniądze, aby bronić sprawy polskiej przed komunizmem i gdy te wszystkie uporządkowane od szeregu lat sprawy mieszają się i wywracają do góry nogami, Polonia odskaakuje od tego zamieszania i nie powróci

do dalszego współdziałania, aż nastąpi pełna równowaga.

Można wykazywać się różnymi nazwiskami wśród Polonii, które udzielają poparcia tej lub tamtej osobistości, będącej postacią główną dramatu kryzysowego. Ale nazwiska te w gruncie rzeczy nie odzwierciedlają prawdziwego stanowiska Polonii. Polonia nie chce zadnej walki wewnętrznej i jeśli chce się ją albo przynajmniej jej część utrzymać przy inicjatywie politycznej polskiej, trzeba ustawić taką pozycję, która jest pozbawiona znamion wojny domowej, a nosi charakter przynajmniej kompromisu. W tym duchu poszły głosne, a tak bardzo nierozumiane w Londynie tzw. uchwały buffalowskie w sprawie Skarbu Narodowego. Miały i mają one na celu złagodzenie elementów walki wewnętrznej przynajmniej na tym terenie. Czy to złagodzenie pozwoli utrzymać atmosferę współpracy, jeszcze nie wiadomo, bo zię duchy — z jednej i drugiej strony barykady wzniesionej nie wśród Polonii, ale wśród nowej emigracji — pracują wytrwale, aby rozpaść burzę. Będziemy mieli wtedy widokowo podobne do londyńskiego, ale uczestnicząc w nim będzie tylko nowa emigracja i pojedynczo, zupełnie odosobnieni jednostki z szeregu Polonii. Samej Polonii w tym nie będzie. I wtedy — jedyną nadzieją ugaszenia pożaru — nie będzie także pieniędzy na wojnę domową, bo zebrane fundusze wystarczą za ledwie na korespondencję między centralami londyńskimi a sztabami wojny domowej w Stanach Zjednoczonych.

Trudność w rozumieniu tych spraw na terenie Londynu polega na tym, że ocenia się je wedle szablonów obowiązujących w środowisku polsko-emigracyjnym w Londynie czy w ogóle w Europie. Nie chcę nawet zapewniać moich czytelników, przyjaciół i przeciwników, że wspólnie z innymi działaczami nowej emigracji w tym kraju, doskonale rozróżniamy między tym, co powinno być wedle klasycznych wzorów, które obowiązują życie polityczne, wśród jakiego wyrosliśmy od młodości, a tym, co spotykamy w tutejszym środowisku. Tylko na szczęście Opatrzność nie pozabawiła nas jeszcze zmysłu rzeczywistości i widząc, że nasze szabloni na nic się nie przydadzą w tym kraju, stosujemy metody, która jest jedynie tu możliwa i celowa. Naszych mądrości nie przelejemy do głów Polonii, która ma tu już swój ustalony system i sposoby działania i ten trud z naszej strony byłby daremny.

Możemy natomiast działać w określonym kierunku i celu w istniejących warunkach i w zgodzie z postawą i poglądami Polonii. Na nic innego nikt nas nie namówi z Londynu, jeśli mamy zachować tu i rozwijać działalność na rzecz sprawy polskiej.

Nie znaczy to, że ktokolwiek zamierza tu odrywać się od Londynu. O

tym mowy być nie może, skoro nawet istniejące na całym świecie siły polskie są za słabe, aby podjąć zadanie. I skoro — chcemy czy nie — w Anglii znajduje się główny rezerwuwar politycznej siły politycznej z Kraju. My tu jesteśmy ciągle jego tyłko, liczną i bodaj największą po Anglii, odnogą. Natomiast ułnieśliśmy przekaźnik Londyn. Ze pępek świata znajduje się jednak tutaj, a nie na wyspach brytyjskich i że z różnymi przyczyn należy uwzględnić to wszystko, co się tu dzieje i co się mówi i zaleca. Gdyby już nie więcej nie miało działać na wyobraźnię naszych współtowarzyszów niedoli z Londynu, to przekonywującym chyba dostatecznie argumentem powinien być wzgląd, że tylko z tego kraju i znikąd więcej — można czerpać środki na akcję polską w wolnym świecie. Nie można będzie ich otrzymać, nie uwzględniając stanowiska tych, którzy mogą płacić. W małym stopniu dotyczy ta uwaga nowej emigracji, która ma ciągle mało pieniędzy, ale w dużym i decydującym dotyczy Polonii amerykańskiej. Jeśli zechce — dostarczy tych środków na tyle dużo, że będzie można mówić o skutecznej akcji polskiej. I chociaż p. Mackiewicz w Nowym Jorku podczas konferencji prasowej powiedział, że właściwie nie potrzeba mu pieniędzy na jego akcję, ale to wyznaczenie nie było szczere, gdyż wiadomo, że i on w lasie zabiegał, choć bezskutecznie, o nienajgorszą sumę płynnej gotówki. Wiadomo bowiem, że i symbole muszą być dostarczone, a prócz tego wykonac inne zadania, których osiągnięcie bez pieniędzy nie można.

I dlatego byłoby godnie zalecenia, aby nie dziwno się w Londynie różnym pozornym sprzecznictwom, sformułowanym niezgodnym z klasyczną logiką, uchwałom sprzecznym z zasadami ustalonymi w różnych manifestach. To wszystko, acz niedoskonałe z punktu widzenia planów sztabowych, jest zgodne z potrzebami realnego życia i rzeczywistości, wśród jakiej toczy się dramatyczne koło losów emigracji polskiej w tym kraju, a także sprawy polskiej z jej fatalną sytuacją na wielkim rynku wolnego świata.

Klaudiusz Hrabek

KALENDARZYK KIESZONKOWY

BEZPŁATNIE z zwrotom kosztów opakowania i przesyłki wysyłamy propagandowy KALENDARZYK „Biblioteki Polskiej”, zawierający miesięczne kalendarzowe. Prosimy przysłać do: Kładny adres i znaczek pocztowy za 2½ d. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas” 12, Praed Mews, London, W. 2.

WSRÓD KSIĄZEK I CZASOPISM

POWIEŚĆ O POLSCE PODZIEMNEJ. Ukazała się z dawną zapowiadana powieść Sir Philpa Gibbsa „No Price for Freedom” (Hutchinson, cena 15 szyl.). Gibbs, liczący obecnie lat 78, był początkowo dziennikarzem; przeszedł później do powiesciopisarstwa i historii. Ostatni utwór jego za to ma polski ruch podziemny w czasie ubiegłej wojny. Nacechowany jest dużą dawką polski przyjaźnią.

„Powieść „No Price for Freedom” — pisze recenzent „Observera”, Stevie Smith — mówi o walce Polki przeciw Hitlerowi i Stalinowi, jej okupacji, ruchu oporu i o zdradzie, jakiej padła ofiarą. Jeśli ta powieść wrusza do głębi, to dlatego, że natrafia na odzwiek w wyobraźni czytelnika. Być może Sir Philip jest za delikatny w trosce, by niepotrzebnie nie dręczyć łagodne usposobionych czytelników, pragnących czytać dla przyjemności. Okropności są tu przytłumione. Opisana jest nieśmiertelna walka ghettła, powstanie warszawskie i podane w postaci relacji wiadomości o schwytyaniu i „badaniu” działaczy ruchu podziemnego, ponurych pociągach z transportami i obozach koncentracyjnych. Ale rodzina polska, która stanowi ośrodek wątku autora, wychodzi z tego wszystkiego na ołtarz.

„Jest to historia pełna przygód, ale pogodna a la „Scarlet Pimpernel”, pisana z dziennikarskim „nosem”, wyczuwającym, co czytelnicy zdołali się strawić. Okrucieństwa Hitlera i Mussoliniego miały często charakter tak plugawy, że nie mogą być strasze jako literatura rodzinna”.

Sprawozdawca „Sunday Timesa”, Michael Swan zaznacza, że długa powieść Gibbsa pisana jest z punktu widzenia jej głównych bohaterów, rodziny Mirskich, „mikrokosmosu Polki liberalnej”. „Sir Philip używa ogromnego płótna malarskiego, maluje z rozmachem, ale mało oszczędza farb. Daje on przekonywujący obraz Polski w tych latach, co niewątpliwie jest nieładną osiągnięciem wyobraźni. Osiągnięciem jest także techniczne życie w fikcyjnej postaci, choć nie są one jeszcze na tyle żywe, by nakazywały zainteresowanie nimi”.

Recenzent „Times Literary Supplement” — jak zawsze w tym tygodniku anonimowy — zarzuca postaciom z „No Price for Freedom”, że w dialogach postępują się stylem, całkiem pozbawionym naturalności.

MICKIEWICZ WIĘKSZYM POETA OD PUSZKINA. Stwierdzenie takie rzadko spotyka się w prasie czy w książkach angielskich; często uznawany jest pryhat Puszkiną jako ponoc największego poety słowiańskiego. Innego

zdania jest na łamach „Times Literary Supplement” (z dnia 21 stycznia) recenzent pracy Wiktora Weintrauba „The Poetry of Adam Mickiewicz”, która właśnie ukazała się w Hadze w serii „Slavistic Printings and Reprintings” (cena 25 guldenów holend.).

„Mimo licznych już teraz, choć raczej „nieapetycznych” przekładów, szkiców krytycznych i „vies romances” — czytamy w recenzji — reputacja Mickiewicza w Wielkiej Brytanii, jak się zdaje, zawiąduje więcej posągowi Bourdelle’a na Place d’Alma w Paryżu, niż jakiegś powszechnie znanemu jego utworów poetyckich. Jego przyjaciel Puszkina miał lepszych tłumaczy i znacznie więcej osób w naszym kraju czytało Puszkina niż kiedykolwiek czytało o Mickiewiczu. A przeciwko ośmiu pisarzom zgodni byłiby zapewne co do tego, że Mickiewicz był większym poetą”.

Recenzent stwierdza z uznaniem, że Weintraub skłusnie poświęcił wiele trafnych i „równoważonych” uwag stosunkom między obu poetami, chwali też uwagi o wierszu metrycznym i charakterystykę „Pana Tadeusza”. Na ogo jednak — zdaniem jego — książka ma charakter zbyt specjalny, by mogła pogodzić kogokolwiek spoza uniwersyteckich szkół języków słowiańskich.

ANGLIK O POLAKACH W LONDYNIE. W tygodniku konserwatywnym „The Truth” (z dnia 14 stycznia) ukazał się artykuł znanego dziennikarza angielskiego Reginalda Colby’ego pt. „Poles in Exile”.

„Kto by dawniej pomyślał — zapytuje Colby — że South Kensington ze spoli się w jakiś sposób z Polską? A jednak Królewski Gród Kensingtonski („The Royal Borough of Kensington”) ongiś głośny bastion angielskich „upper middle classes”, stał się bardziej polski niż angielski, w wielu ulicach położonych na północ i na południe od Cromwell Road. Omal nie napisałem „Polish Corridor”, bo pod tą właśnie nazwą Cromwell Road znane jest w tej okolicy. „Next stop the Polish Corridor” — wypiewkuje konduktor w swej gwarze cockneyjskiej, gdy wielki czerwony autobus biegnie w dół Cromwell Road i wjeżdża do „słowiańskiego pała” Londynu”.

„Polki Londyn — czytamy dalej — zaczyna się u wschodniego końca Cromwell Road i sięga Earl’s Court, a nawet dalej. Tutaj, rozsiane po ulicach, ogrodach i placach okręgów S.W.7 i S.W.5, znajdują się domy należące do Polaków, instytucje polskie, restauracje i kawiarnie polskie, pensjonaty polskie, sklepy żywnościowe i kluby byłych polskich wojskowych”.

Colby dodaje, że gospodynie angielskie odkrywają stopniowo polskie sklepy żywnościowe, często ukryte na bocznych uliczkach lub w „mewsach”, gdzie kupują polskie ciastka, chleb żytni i kisiel.

Mowa dalej o „Dzienniku Polskim”, który autor nazywa „autorytatywnym głosem Polaków na wygnaniu”, o zbyt małej liczbie kobiet wśród emigracji polskiej i o tym, że Polacy, mimo że są skłóceni politycznie, potrafią występować solidarnie, gdy chodzi o sprawy narodowe, jak się okazało przy sprawie Klimowicza i marynarzy z „Puszczyczka”, na obronę których emigranci polscy w Wielkiej Brytanii zebrał w ciągu paru tygodni ponad 6.000 funtów.

Dosyć obszernie omawia Colby polski „kryzys prezydencki”, stwierdzając, że większość Polaków opowiedziała się za Radą Jedności Narodowej i Radą Trzech. Sprawy emigracji polskiej — zaznacza Colby — Niemcy i prasa niemiecka zajmują się więcej niż Anglii. „Polacy jednak nie mają nam za złe naszej obojętności i w rzeczywistości raczej mają dla nas respekt, że nie mieszkamy się do ich spraw”. O Polakach londyńskich nie słyszaloby się, gdyby od czasu do czasu nie przybyło do Anglii jakiś uchodźca polski z za „zełazną kurtyną”; wówczas w ruch wprawiony zostaje cały aparat sprawiedliwości brytyjskiej. Później znów nastaje cisza, póki „znovu jakiś Polak nie ucieknie i nie przetrze się z niebezpieczeństwem życia do Londynu, który wciąż jest stolicą wolnej Polki, jak był nią nieprzerwanie od roku 1940”.

OPERA I BALET JUGOSŁOWIAŃSKI
Jugosłowiański zespół operowy i baletowy z Zagrzebia, który rozpoczął występy w poniedziałek 24 stycznia w londyńskim Stoll Theatre (przy Kingsway), liczy 240 osób, z czego na balet przypada 50, chórz 70, a na orkiestrę również 50.

Występy trwać będą do soboty 12 lutego włącznie. Repertuar obejmuje operę Borodina „Książę Igor” (z baletem „Taniec Polowców”), współczesną komijną operę jugosłowiańską Gotowaca „Ero żartownis” (po ang. „Ero the Joker”), oraz „Pajace” Leoncavallo. Poza tym zespół daje premiery trzech baletów: „Romeo i Julii” Prokofiewa, „Diabła we wsi”, który skomponował Fran Lhotka, oraz „Serca z piernika” Baranovica.

Z Zagrzebia zespół przywiózł nie tylko piękne barwne kostiumy, ale i dekoracje.

Jan Bielawicz

„GAŁĄZKA ROZMARYNU”

MILA KAMINSKA rzekła do Zygmunta Nowakowskiego w czasie jego jubileuszu: „Niech Ci te gałązki mimowolny, ogrzane ciepłem naszych serc, zamienią się w gałązki rozmarynu”. Ze niby rozmaryn taki narodowy, a mimo to taka obca. Tymczasem mimozy w Polsce zatrudnienie, a rozmaryn jest rośliną klasyczną. Być może, że wielka włoszczyznarka Bona i te rośliny do Polski przywiozła, albowiem Włosi nie mogą się obejść bez rozmarynu w przyprawianiu potraw. Mimo prozaicznej użyteczności rozmarynu, jest to zresztą roślina prawie tak poetycka jak mirt albo laur. Nazywa się przecież „rossa morską” (rossa marina), a w jednym z dramatów Szekspira mówi się: „The rosemary, that’s for remembrance”. Z rozmarynu pleciono w starożytności pogrzebowe wieniec, natomiast w Europie służył on za ziele w ślubnym bukietcie, a także studentom w charakterze szczęście przynoszącej koniczyki w czasie egzaminów. Jest więc rozmaryn bardzo użyteczną rośliną kuchenną, o czym świadczą jego botaniczna nazwa Rosmarinus officinalis, a równocześnie poetycka. Do sztuki Nowakowskiego dostał się z piosenki legionowej: „O mój rozmarynie, rozwijaj się”, być może przyswojonej z obcego języka, zapewne dzięki poetycznemu bżmienniu swej nazwy.

DR LUDWIK RUBEL powiedział na jubileuszu, że Zygmunta Nowakowskiego jest zwolennikiem ideologii legionowej. Ideologia ta jest związana z rozmarynem nie tylko poprzez piosenkę, ale też dlatego, że nie wszystkim wiadomo, co dokładnie — podobnie jak rozmaryn — znaczy w zastosowaniu do lat po drugiej wojnie światowej.

OWE CZYNNIKI poetyczno-irrationalne, rzez by się chciało romantyczne, cechują twórczość jubilata. Jego „ideologia legionowa” posiada również charakter uczuciowy, o czym się łatwo można przekonać z treści „Gałązki rozmarynu”. Nie tykając na razie jej

wartości scenicznych, trzeba stwierdzić, że autor posiada o wojaczkę pojęcie poetyckie, a wiedzę o wojsku czerpał z bogatego repertuaru pieśni legionowych.

Któs kiedyś powiedział, że mężczyzna tworzy wojna, a kobietę macierzyństwo, i miał bodaj odrobine racji. Są zapewne i inne drogi dojrzewania poza wojną, ale w wielkim skrócie ludzie dzielą się na żołnierzy i nieżołnierzy. Żołnierze, rzez jasna, to tylko ten, kto walczył proch, albo inaczej, ten, do kogo strzelano. Nie miejsce tu ów poglądy rozwijać, ale pokrocie żołnierze, to nie tylko człowiek, który zna swoje rzemiosło, lecz taki, co ma szczególny pogląd na życie i ludzi. Jakże blaha wydają się żołnierzowi różne cywilne heroizmy, jakże puste pozy, miny i słowa patriotyczne! Zna on nie tylko brukowane i oświetlone aleje miejskie, ale i ich przedłużenie w dalekie, wyboiste, ciemne, bezdomne drogi. Między żołnierzem z poezyj i operetki i żołnierzem z pola boju jest ta sama różnica, co między defiladą a bitwą. Tylko żołnierz zna prawdziwą miarę, wagę i cenę życia.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI jest zbyt dobrym artystą pióra i sceny, aby się rwać na głębokie wody wojny. Akcja jego sztuki toczy się w koszarach i na postojach, a jedyna frontowa scena służy tylko za to dla patetycznego obrazu śpiewania koledy w okopach. Ale nawet to tło ukazuje wiotkość wiedzy o walce, z omymi dwiema długimi tyradami śmiertelnie rannych, z potokami łez i melodramatycznym rozzerwaniem się towarzyszy broni — scena raczej jasełkowa niż dramatyczna.

„Gałązka rozmarynu” jest poza tym bardzo dobrą sztuką widowiskową i trzeba stwierdzić, że się zwycięsko oparła zębowi czasu. Mnóstwo w niej żywych, wartkich scen, duży rejestr uczuć i wrażeń, płynny, doskonale zindywidualizowany dialog, przedni humor, choć słabszy dowiec, zwartość,

barwność, życie. Gdyby nie to nieszczęsne amatorstwo wojenne i wojackie, zalewające sztukę łzami i inną wodą... Ostatecznie, wojna, to nie nocne podochody zuchów, a Legiony, nie wiec studenci.

LEOPOLD KIEMANOWSKI przyciętował sztukę jak się patrzy. Była to nie tyle reżyseria, co orka: czterdzięci rol, aktorzy dramatyczni i rewiowi, sporo półamatorów, dzieci, tłumy kibiców za sceną, strzelanina, świątła, chór, niekompletne próby. Kielanowski najwyraźniej po „Gałązce rozmarynu” posiwiał. Jego kompania zagrała wzorowo. Role opawane, jak bodaj nigdy dotąd, twarda, prawie legionowa dyscyplina na scenie, uczciwa gra zespołowa, jedyny balaganik — w okopach pod Łowczówkiem, do czego walcnie przyczynił się autor sztuki. Reżyser wydobyl z zespołu aktorskiego wszystko, co mógł, a ze sztuki to, co mógł w warunkach emigracyjnych.

TADEUSZ ORŁOWICZ dał miłą oprawę, a nawet koncepcję sztuki. W dekoracjach do każdego obrazu powtarzał się motyw rozwiniętego fioletu papieru, co scenom przydawało poświatły odczytywanej ze starej księgi opowieści.

WIESŁAW MIRECKI i ALEKSANDER BUTSCHER (junior) byli najlepszymi aktorzy: stworzyli wyraźne sylwetki, z charakterem i o dobrej dykcji. Butscher wziął po ojcu talent aktorski i do mówienia gwarę, czego nie da się powiedzieć o reszcie zespołu. Kiedyż, ach kiedyż nasi aktorzy nauczą się choćby tych dwu kardynalnych zasad, że głoski rz się nie mazurzy i że nie każde a jest w gwarze ścieśnione („pochylone”)? Dla widzów znających gwarę to bezlistne kaleczenie języka jest bolesne prawie fizycznie.

Wśród aktorów wyróżnił się ponadto opawaną grą Robert Hopen, a innymi walorami Edward Chudziński i Waclaw Dybowski.

ZOFIA MROCZKOWSKA i EWA

Z Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ZYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2, England. Telefon: Redakcja i Administracja: AMBASSADOR 6879. Drukarnia: PADDINGTON 9734. Godziny przyjęcia w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPEŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego planu sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem

pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D - S T A W I C I E L S T W A I CENNA PRENUMERATA W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciel — „Vistula” (Australia) Pty, 77, Pitt Street, Sydney oraz „Spolem”, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide. S. A. BELGIA: Przedstawiciel — E. Kulakowska, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kiedłńska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz Rev W. Slaps, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — „Libella” Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l’Íle, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, International Book Service, 67, Queen Str. W. Toronto i „Radegast”, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata

kwartalna \$ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: S. Misdziuk, Seehammerstr. 4, Bar 16 B/2 (13B) München 54 oraz „Informacja Praowa”, Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Lubiński, Fagerurveien 14, Bestum ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications”, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz M. Kijowski, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz Z. Stojanowska, 424, Ave „E”, Bayonne, N. Jersey oraz „Pomoc” — Ekspert Import, 761, Millmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. \$ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: Mgr B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme Z. Buihak-Jelska, via Salara 300 C. Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.